

Uniwersytet Śląski w Katowicach

Wydział Filologiczny

Filologia Polska

Marta Cyba

Nr albumu 149966

Jacka Kaczmarskiego
głos w sprawie Sarmacji

Praca magisterska pisana pod kierunkiem
prof. UŚ dr. hab. Piotra Wilczka

Katowice 2004

Spis treści

Wstęp	2
Rozdział I – Choć już wszystko było powiedziane, powiem raz jeszcze na własny (?) rachunek	23
Rozdział II – Ach, z tego, czego już nie ma, jakież by mógł być świat	28
1. Źródło	28
2. Lekcja historii (nie)klasycznej	35
3. Encore, jeszcze raz, encore... ..	77
Zakończenie	89
Bibliografia podmiotowa	93
Bibliografia przedmiotowa	93
Aneks: słowa piosenek Jacka Kaczmarskiego omawianych w pracy	96

Wstęp

*Starożytni rozróżniali dwie Sarmacje, jedną położoną w Europie, drugą w Azji, graniczące ze sobą i ze sobą połączone. W skład Sarmacji Europejskiej wchodziły terytoria zamieszkałe przez Rusinów, Litwinów i Moskali oraz inne ludy sąsiadujące z nimi. Terytoria te na zachodzie sięgają do rzeki Wisły, a na wschodzie kończą się na rzece Don.*¹

Oto słowa sprawcy całego zamieszania wokół genezy narodu polskiego, Macieja z Miechowa. Pisze o nim Stanisław Grzybowski:

*Utożsamienie Polski, Litwy i Rusi z Sarmacją starożytną, równocześnie niemal dokonane w początku wieku XVI przez kilku polskich i obcych uczonych, najpełniej zostało przeprowadzone przez Macieja z Miechowa (...)*²

Stanowisko takie jest powszechne, a przecież ten krakowski uczyony ustalił coś odmiennego od tego, co przekazuje nam tradycja.

Cytowane na początku zdanie wymaga objaśnienia, o jakich starożytnych chodzi. Niewątpliwie Miechowita ma na myśli Herodota, który Sarmacją określał kraje na wschód od Donu, oraz Ptolemeusza, który w swej *Kosmografii* dokonuje podziału na dwie Sarmacje: Europejską (jej granice to na zachodzie Góry Sarmackie — czyli Karpaty — i bieg Wisły, na północy Ocean Sarmacki — czyli Bałtyk — i Zatoka Wenedyjska, na północnym wschodzie zaś nieznaną kraj) i Azjatycką.³ Tyle tylko, że uczeni ci nie są przywołani, by podeprzeć się ich autorytetem,

¹ Maciej z Miechowa: *Opis Sarmacji azjatyckiej i europejskiej*. Wrocław 1972, s. 28.

² S. Grzybowski: *Sarmatyzm*. Warszawa 1996, s. 2.

³ T. Ulewicz: *Sarmacja. Studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI wieku*. Kraków 1950, s. 150.

ale by z nimi polemizować, podobnie zresztą jak z wcześniejszymi polskimi kronikarzami (Długosz w swoich *Kronikach* konsekwentnie i ściśle zestawia terminy *Polacy*, *Polska* z *Sarmaci*, *Sarmacja*, utrwalając je w świadomości odbiorców jako synonimy⁴). Bo u Miechowity czytamy wyraźnie, że Słowianie są rodem europejskim, że zamieszkiwali ziemię południowej Europy, a Polacy biorą początek od księcia Lecha, który dotarł do *dzikich ziem Śląska i Wielkopolski przez nikogo nie zamieszkiwanych (...) I rozrodzili się Lechici, to znaczy Polacy (...) i zapelnili sobą Wandalię, czyli Polskę (podkreślenie moje) nad rzeką Wandal, która teraz nazywa się Wisła*.⁵ Dlaczego zatem Maciej z Miechowa został ochrzczony ojcem sarmackiej genealogii Polaków, trudno dociec. Ulewicz twierdzi, że być może stało się tak dlatego, że w *Traktacie* jest mowa o Litwie jako części Sarmacji Europejskiej, a skoro Litwa, to automatycznie i Polska.⁶ Faktem jest, że późniejsi kronikarze nie mieli najmniejszych wątpliwości co do tego, skąd nasz ród.

Marcin Bielski w swej *Kronice wszystkiego świata...* z 1551 roku (notabene pierwszym napisanym po polsku dziele historycznym) konsekwentnie nazywa Słowian Sarmatami, a samą Sarmację dzieli na *Scytską* i *Europejską* (w jej skład wchodzi Polska, Ruś, Moskwa, Litwa i Pomorze). Marcin Kromer ostatecznie naukowo i historycznie podbudował tezę o sarmackim pochodzeniu Słowian i Polaków, a przy okazji rozprawił się z innymi teoriami (jak np. wywodzenie Słowian z Dalmacji czy Ilirii lub utożsamianie ich z Wandalami) w swoim *De origine et rebus gestus Polonorum libri XXX* z 1555 roku.⁷

W tym poszukiwaniu starożytnych początków nasz kraj nie różnił się od innych krajów europejskich — Włosi wywodzili się oczywiście ze starożytnego Rzymu, Francuzi z Galii, Anglicy mieli pochodzić od trojańskiego Brutusa, Niemcy od Teutonów, Rosjanie od cesarza Augusta, Skandynawowie od Gotów, Węgrzy od Scytów itd.⁸ Te poszukiwania korzeni w antyku są zrozumiałe, gdy pamiętamy, że ówczesnie tylko to, co starożytne, mogło zasługiwać na szacunek.

⁴ Ibidem, s. 30.

⁵ Maciej z Miechowa, op. cit., s. 46-47.

⁶ T. Ulewicz, op. cit., s. 62-63.

⁷ Ibidem, s. 88-100.

⁸ piszą o tym m. in. Cynarski i Chrzanowski.

Dlatego Tadeusz Mańkowski zwraca uwagę, że:

*Teoria sarmackiej genezy narodu i państwa polskiego w tym świetle to nie mit, ani też bajanie niekrytycznych umysłów kronikarzy, lecz wyraz poszukiwania swego „ja” przez bardziej oświecone warstwy narodu, poszukiwanie tradycji historycznych przez naród, który poczuł się na siłach i chce coś znaczyć, szukanie swego miejsca wśród innych narodów o odleglejszej przeszłości.*⁹

A kim w ogóle byli Sarmaci? Tadeusz Sulimirski wyczerpująco objaśnia to w książce pod takim właśnie tytułem; tutaj wystarczy wspomnieć, że był to potężny ród koczowników pochodzących ze wschodniej Europy, a konkretnie z pnia indoeuropejskiego, należący do północnego odłamu irańskiej grupy językowej. Okres ich wpływów na Słowian zamyka się w granicach II, III do końca IV wieku. n.e., a że Sarmacją w pierwszych wiekach nazywano całą wschodnią część Europy, dobitnie świadczy to o znaczeniu Sarmatów. Autor też, jako bodaj jedyny współczesny historyk, nie tylko zgadza się z tezą o wpływach tego ludu na Polaków, ale i udowadnia to m.in. przez wskazanie elementów pochodzenia irańskiego w prasłowiańskim zasobie słownikowym, wyraźne ślady kontaktu irańsko-słowiańskiego z III i IV wieku n.e. (chodzi o groby sarmackie w okolicach Horodenki i Zaleszczyk oraz słup kamienny z Zazdrości z typowymi znakami sarmackimi), pochodzenie herbów polskich z XI-XIV wieku od sarmackich znaków runicznych, tzw. tamg. Także stosunki społeczne mogły być zaczerpnięte ze wzorów sarmackich, bowiem ich pierwotny ustrój opierał się na matriarchacie i stąd być może galanteria Polaków wobec kobiet i odpowiedzialna rola tychże w życiu rodzinnym i społecznym. Równość zaś wszystkich członków w obrębie poszczególnych szczepów sarmackich znalazła odbicie w stosunkach w Polsce szlacheckiej („szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”).¹⁰ Wprawdzie równość ta może wydawać się złudna, gdy spojrzymy na różnice majątkowe magnaterii i „zwykłej szlachty” oraz system klienteli, ale chodziło, jak się zdaje,

⁹ T. Mańkowski: *Genealogia sarmatyzmu*. Warszawa 1946, s. 31.

¹⁰ T. Sulimirski: *Sarmaci*. Warszawa 1979, s. 202-205.

o równość wobec prawa i równość praw obywatelskich. Norman Davies stawia diagnozę, że:

*(...) z psychologicznego punktu widzenia dążenie do równości było podstawowym antidotum, mającym uzdrowić istniejący stan rzeczy. Był to mechanizm obronny, coś w rodzaju „smaru” dla społecznej maszynierii, który umożliwiał szlachcie solidarne stawianie czoła zewnętrznemu światu. Była to piękna fikcja, kult, który na przynajmniej trzysta lat stał się źródłem podstawowych reguł życia politycznego i społecznego.*¹¹

Te trzysta lat wspomniane przez walijskiego historyka to okres obejmujący wieki XVI-XVIII, i w zasadzie wszyscy badacze zgadzają się na tę periodyzację, jedynie Chrzanowski byłby skłonny przesunąć etap kształtowania się mitu sarmackiego na schyłek wieku XV.¹² Janusz Tazbir uwidacznia zaś różnice między tymi okresami, zaznaczając, że największe wpływy wśród szlachty zyskuje sarmatyzm w drugiej połowie XVII wieku, a od początków XVIII przybiera formy karykaturalne i zdegenerowane.¹³

Dużo więcej kontrowersji nasuwa porównanie definicji tego, co różni badacze rozumieją pod pojęciem sarmatyzmu. Ta słownikowa głosi, iż *sarmatyzmem nazywamy formację kulturową, która występowała w Rzeczypospolitej Obojga Narodów od końca XVI do połowy XVIII wieku, a jej relikty przetrwały do końca tego stulecia.*¹⁴ Mańkowski kładzie nacisk na światopogląd, choć w zakończeniu swej książki zastanawia się, czy nie był to także i styl życia.¹⁵ Cynarski godzi te wątpliwości nadając swemu szkicowi tytuł *Sarmatyzm – ideologia i styl życia.*¹⁶ Janusz Maciejewski pisze:

¹¹ N. Davies: *Boże igrzysko*. T. 1. Kraków 1991, s. 320.

¹² T. Chrzanowski: *Wędrowki po Sarmacji europejskiej. Eseje o sztuce i kulturze staropolskiej*. Kraków 1988, s. 10-11.

¹³ J. Tazbir: *Rzeczpospolita i świat. Studia z dziejów kultury XVII wieku*. Wrocław 1971, s. 11.

¹⁴ J. Maciejewski: *Sarmatyzm*. W: *Słownik literatury polskiego Oświecenia*. Red. T. Kostkiewiczowa. Warszawa 1996, s. 548.

¹⁵ T. Mańkowski, op. cit., s. 166.

¹⁶ S. Cynarski: *Sarmatyzm – ideologia i styl życia*. W: *Polska XVII wieku. Państwo – społeczeństwo – kultura*. Red. J. Tazbir. Warszawa 1974, s. 269.

*Sarmatyzm traktuję jako formację kulturową, a więc całość zachowań ludzkich i ich wytworów w ramach określonego społeczeństwa w określonym odcinku jego rozwoju dziejowego. Społeczeństwem tym był ogół szlachty i mieszczaństwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Odcinkiem dziejowym był okres od ostatecznego ukształtowania się ustroju demokracji szlacheckiej w końcu XVI wieku do jej kryzysu w XVIII stuleciu.*¹⁷

I tylko Chrzanowski stawia sprawę zdecydowanie:

*Sarmatyzm dotknął bardzo wielu przejawów życia dawnej Polski, ale nie jako styl, lecz jako refleks pewnych postaw i zamiłowań, które opierały się na ideologii. I tylko tak należy rozumieć sarmatyzm.*¹⁸

Niezależnie od tego, która definicja jest nam najbliższa, nie ulega wątpliwości, że nigdy wcześniej i później żaden okres nie wpłynął tak bardzo na świadomość narodową jak lata panowania sarmatyzmu właśnie, i to w każdej jego formie. Prześledźmy je pokrótce.

Od XVI wieku państwo polskie zaczęło być nazywane Rzeczpospolitą szlachecką, a ustrój — demokracją szlachecką (jej kształtowanie się było związane ze stopniowym uzyskiwaniem przez całą tę warstwę licznych przywilejów: nietykalności osobistej i majątkowej, monopolu na posiadanie ziemi, wolności podatkowych i celnych, równych i wyłącznych praw politycznych). Wielu historyków datuje początek nowożytnego państwa polskiego na rok 1505. Wtedy to na sejmie w Radomiu uchwalono konstytucję, która wprowadziła fundamentalną dla państwa szlacheckiego zasadę *nihil novi*, co czyniło sejm organem ustawodawczym. Tazbir zauważa, że:

Całokształt przywilejów stanowych szlachty bywa określany w historiografii i literaturze pięknej mianem złotej wolności, przy czym pojęcie to nosi obecnie odcień zdecydowanie pejoratywny. Warto

¹⁷ J. Maciejewski: *Sarmatyzm jako formacja kulturowa*. „Teksty” 1974, nr 4, s. 19.

¹⁸ T. Chrzanowski, op. cit., s. 9.

*jednak pamiętać, że przynajmniej w XVI wieku – a więc w szczytowym okresie rozwoju polskiego parlamentaryzmu – aurea libertas nie oznaczała jeszcze, że szlachcie wszystko wolno, ale że władzy zwierzchniej nie wolno wszystkiego. Uzasadniony w wielu przypadkach lęk przed absolutyzmem i niechęć do władzy centralnej nie prowadziły wówczas do anarchizmu. Wręcz przeciwnie, przywiązaniu do złotej wolności towarzyszyły szacunek dla tradycji, poczucie odpowiedzialności za losy państwa, wreszcie duży legalizm i niechęć do warcholskich i nieodpowiedzialnych występów.*¹⁹

Ta pierwsza faza rozwoju wzbudza szacunek i u obcokrajowców – Norman Davies pisze z podziwem, że:

*Rzecz dziwna – ideały polskiej szlachty pobrzmiewają nutą zadziwiająco współczesną. W epoce, w której większość Europejczyków wychwalała zalety monarchizmu, absolutyzmu czy władzy państwowej, szlacheccy obywatele Polski i Litwy głosili chwałę swej złotej wolności, prawa do wypowiedzenia posłuszeństwa, umowy społecznej, swobód jednostki, zasady rządów w oparciu o powszechną zgodę, zalet niezależności.*²⁰

Współpraca szlachty z Zygmuntem Starym układała się dość dobrze (mimo zarzutów łamania przez króla i Bonę praw, co zaowocowało rokoszem lwowskim), głównie dlatego, że król rządził łagodnie, cieszył się dużym autorytetem, a w kraju panował dobrobyt. Zygmunt August kontynuował politykę ojca, a za jego rządów ugruntowała się w Polsce tolerancja wyznaniowa (choć rangę prawną uzyskała dopiero po jego śmierci – konfederację warszawską uchwalił sejm w styczniu 1573 roku i to właśnie szlachta była gwarantem tego aktu). Zwykle historycy kładą wielki nacisk na to wydarzenie, bo nie miało ono precedensu w państwach Europy Zachodniej i jest dowodem na świadomość polityczną jeszcze niezepsutej szlachty.

¹⁹ J. Tazbir: *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit – upadek – relikty*. Warszawa 1983, s. 58-59.

²⁰ N. Davies, op. cit., s. 489.

Jednak Davies, któremu — jako obcokrajowcowi — łatwiej spojrzeć obiektywnie, sądzi, że to swoisty przypadek: *Polska anarchia i złota wolność szlachty stały się w tej samej mierze przeszkodą dla skutecznych rządów, co dla fanatyzmu religijnego.*²¹ Zupełnie inaczej widzi to Krystyna Bockenheim:

*Szlachta (...) uważała bowiem, że nie należy stosować siły w stosunku do heretyków, a wiernych trzeba pozyskiwać słowem i zjednywać przykładem. (...) Jeśli uświadomimy sobie, jak liczni byli u nas wyznawcy prawosławia, judaizmu, a nawet mahometanie, to zarzuty dotyczące rzekomej nietolerancji ówczesnych Polaków możemy uznać za bezpodstawne.*²²

Niestety, okres ten nie trwał długo, a wyznawanie wiary innej niż katolicka skazywało na niebyt polityczny, jeśli wręcz nie utrudniało normalnego życia.

Zygmunt August był także zwolennikiem unowocześniania państwa (zgodził się z niektórymi postulatami ruchu egzekucyjnego), ale przede wszystkim doprowadził do zawarcia unii realnej Polski z Litwą i utworzenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów, państwa wielonarodowego i wielowyznaniowego. Grzybowski nie skąpi słów uznania:

*Dla naszej przeszłości istotna była kultura porozumienia nieraz trudnego i nie zawsze do końca zrealizowanego, ale zawsze inicjowanego. Szkołą takiego porozumienia stały się wielkie sejmy egzekucyjne czasów Zygmunta Augusta. Nauczyły one, że aby porozumienie osiągnąć, nie wolno stronić od ostrej dyskusji politycznej, wręcz przeciwnie, że szczere i śmiałe wypowiedzi w ostatecznym rachunku opartemu na trwałych podstawach porozumieniu służą najlepiej.*²³

²¹ Ibidem, s. 271.

²² K. Bockenheim: *Dworek, kontusz, karabela*. Wrocław 2002, s. 11-13.

²³ S. Grzybowski, op. cit., s. 47.

Po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów szlachta zrobiła wszystko, by zabezpieczyć się przed absolutyzmem — służyła temu elekcja *vitrim* (czyli obiór nowego króla przez całą — teoretycznie — szlachtę na specjalnie w tym celu zwołanym zjeździe) i artykuły henrykowskie, w których król zobowiązywał się do poszanowania zasady wolnej elekcji, a także do uzyskania zgody sejmu na swoje działania. Gwarantowały one też szlachcie zachowanie wszelkich dotychczasowych przywilejów. Dla Chrzanowskiego od tego momentu zaczyna się psucie dotąd dobrze funkcjonującego organizmu państwowego:

Stabilizacja, jaką zadowolili się moi praszczurowie w momencie uchwalenia konfederacji warszawskiej i ustalania artykułów henrykowskich, a więc stabilizacja tworu nieokrzepłego, dzieła nie ukończonego, była o wiele gorszym nieszczęściem niż zły król (...) Stabilizacja, to znaczy zgoda na istniejący stan rzeczy, obawa nie tylko przed zmianą, ale przed jakąkolwiek weryfikacją, jest sama w sobie zbrodnią gorszą niż jakikolwiek występki, bo zbrodnią głupoty. Ta zaś pociąga za sobą konsekwencje: owe wszystkie fobie, urazy, kompleksy, zamroczenia... ²⁴

Po ucieczce Walezego średnia szlachta obwołała królową siostrę Zygmunta Augusta, Annę, co dowodziło ich przywiązania do tradycji jagiellońskiej (podobnie rzecz się miała po dziesięciu latach, gdy królem wybrano siostrzeńca Anny, Zygmunta Wazę), a na męża wybrano jej Stefana Batorego. W ocenie Jaremy Marciszewskiego:

Jeśli dla jakiegokolwiek okresu w dziejach Polski szlacheckiej odpowiedni jest termin państwo zgody — to właśnie dla ostatnich lat panowania Zygmunta Augusta i czasu pierwszej elekcji (...) Szukano powszechnie consensusu, zgody, nauczono się nie deptać praw mniejszości, nie uciekano się przy poszukiwaniu rozwiązań do posunięć ekstremalnych (...) Wszystkie pozytywne osiągnięcia ustawodawcze

²⁴ T. Chrzanowski, op. cit., s. 66.

sejmu polskiego stanowiły wszak w ostatecznym rachunku wynik współdziałania szlachty i tronu, nawet jeśli było ono w jakiejś mierze przez jedną lub drugą stronę wymuszone lub jeśli opierało się na kompromisie. ²⁵

Śmierć Batorego kładzie kres tej sytuacji, a ustrój zatrzymuje się w pół drogi między monarchizmem i demokracją szlachecką, stopniowo także magnateria zyskuje coraz większe wpływy na politykę państwa, bo to tę warstwę wraz z przedstawicielami episkopatu skupił wokół siebie Zygmunt III.

Koniec pierwszego etapu panowania sarmatyzmu w jego najszlachetniejszej wersji przypada wg wielu badaczy (m.in. Pelca, Maciejewskiego, Marciszewskiego, Chrzanowskiego) na rok 1606, kiedy to szlachta ogłosiła rokosz zwany od nazwiska jego przywódcy, wojewody krakowskiego, rokoszem Zebrzydowskiego. Co w nim było takiego wyjątkowego?

Był pierwszym politycznym aktem typowego dla sarmatyzmu myślenia zachowawczego, nastawionego na obronę status quo przed zakusami reformatorskimi (...) ²⁶

Jako ruch o silnym i wyraźnym podłożu etnicznym pogłębił poczucie świadomości narodowej, wzmocnił w szlachcie przekonanie o jej odrębności kulturalnej i politycznej, poruszył masy szlacheckie Polski i Litwy (...) W rozwoju sarmatyzmu rokosz ten stanowi bardzo ważne wydarzenie. Wprawdzie jego zwolennicy przegrali, lecz król musiał zaniechać wszelkich prób reform (...) Przebieg zjazdów rokoszowych świadczył, że świadomość szlachecka ukształtowała się w duchu wyraźnie zachowawczym. ²⁷

Okolo roku 1600 dokonuje się przesunięcie od kultury otwartej do kultury zamkniętej (...) U nas to przesunięcie miało kształt dwojaki,

²⁵ J. Marciszewski: *Szlachta polska i jej państwo*. Warszawa 1986, s. 149-151.

²⁶ J. Maciejewski, op. cit., s. 19.

²⁷ S. Cynarski, op. cit., s. 276.

dlatego szczególnie szkodliwy, bo nie tylko działało na zewnątrz, ale przede wszystkim do wnętrza owej federacyjnej kompozycji, prekursorskiej na tyle, że wyprzedziła swój czas i załamała się przez siebie samą (...) Drugie przesunięcie określić można jako przejście od programów do sloganów. ²⁸

W zasadzie nikt nie mógł ogłosić się zwycięzcą, bo choć Zygmuntowi III udało się zapewnić tron synowi, ale w zamian musiał zaniechać reform, szlachta zaś zaakceptowała sytuację, w której magnateria przejęła rolę gwaranta ustroju i wolności.

Warstwa szlachecka dość wcześnie zaczęła z pochwałą mierności i poprzestania na małym łącząc konserwatyzm wyrażający się w przekonaniu, iż każda nowość jest równie szkodliwa dla państwa jak i dla niej samej. Konserwatyzm szedł w parze z daleko posuniętym legalizmem. ²⁹

Podobnie sądzi Cynarski:

Pisma z początków XVII wieku, a zwłaszcza z doby rokoszowej, wskazują, jak dalece pogłębił się tradycyjny sposób rozumowania u szlachty. Twierdziła ona, że nie prawa są złe, ale ludzie je psują, bo odchodzą od obyczajów przodków, i że nie można wprowadzać żadnych zmian, gdyż prawa i ustrój to spadek zostawiony przez ojców. Dlatego też za słuszne uważano wszystko, co miało za sobą tradycję i dawność. ³⁰

Zdanie obu badaczy podziela Maciejewski:

[szlachta] zdobyła to, czego pragnęła, zyskała świadomość osiągnięcia pewnego maksimum i optimum. Owa świadomość sprzyjała nastrojom

²⁸ T. Chrzanowski, op. cit., s. 256-257.

²⁹ J. Tazbir: *Kultura...*, s. 71.

³⁰ S. Cynarski, op. cit., s. 278.

uspokojenia, kwietyzmu, niechęci do zmian. Szlachta nie odczuwała już potrzeby reform, ale utrzymania i ochraniania osiągniętych zdobyczy. W tym kierunku będzie się też kierowała jej uwaga i aktywność. ³¹

Panowanie Władysława IV było ostatnim przed kryzysem; później Rzeczpospolita zaczęła staczać się po równi pochyłej – Jan Kazimierz musiał zmagać się z powstaniem Chmielnickiego, powstaniem chłopów, wojną z Rosją i „potopem szwedzkim”. Poza tym miał ambicje wprowadzenia władzy absolutnej, na co, rzecz jasna, szlachta zgodzić się nie mogła. To w 1652 roku padło słynne *liberum veto* posła Sicińskiego, które doprowadziło do zerwania sejmu i otworzyło drzwi magnaterii (gdyż Siciński był klientem Janusza Radziwiłła i na jego polecenie działał) do działań paraliżujących pracę tego organu. Obiegowe opinie każą nam myśleć, że to *liberum veto* było jednym z czynników przyspieszających rozkład kraju. Po 1652 na pewno tak było. A wcześniej?

Zastosowanie liberum veto klóciło się – aż do połowy XVII wieku – ze świadomością polityczną szlachty. Ten, kto zerwałby sejm, zostałby nie tylko potępiony (...), ale przede wszystkim sam sejm zapewne przeszedłby do porządku dziennego nad taką protestacją i obradował dalej (...) Nie liberum veto zrodziło w Polsce anarchię, lecz odwrotnie, anarchia spowodowała, że zaczęto je stosować i uniemożliwiła jego zniesienie. ³²

A zasada jednomyślności, choć dziś może wydawać się irracjonalna, miała swe głębokie uzasadnienie w ideałach wyznawanych przez szlachtę:

Jednomyślność lub nic – nie istniało żadne stanowisko pośrednie między doskonałą harmonią a kompletnym chaosem. Da się tu wyróżnić trzy linie rozumowania. W państwie, gdzie władza wykonawcza zależała od dobrowolnego poparcia wszystkich

³¹ J. Maciejewski, op. cit., s. 31.

³² J. Marciszewski, op. cit., s. 203.

obywateli, argument pierwszy był argumentem natury czysto praktycznej: ustaw i decyzji podejmowanych w obliczu opozycji nie można było należycie egzekwować. Argument drugi opierał się na okoliczności, że perspektywa chaosu pomagała umysłom koncentrować się na dążeniu do harmonii. Argument trzeci wreszcie wywodził się z nieco naiwnego przekonania, że instytucje, które nie są doskonałe, nie są warte tego, aby je utrzymywać. ³³

Gdy Jan Kazimierz zorientował się, że nie jest w stanie przeprowadzić zmian ustrojowych, i gdy okazało się, że ma przeciwko sobie licznych magnatów spiskujących z ościennymi mocarstwami (rokosz Lubomirskiego), abdykował i wyjechał do Francji, gdzie wkrótce zmarł, a jego inicjały — ICR — powszechnie zyskały interpretację *Initium Calamitatis Regni* (początek nieszczęścia królestwa). Panowanie Michała Korybuta Wiśniowieckiego, którego demonstracyjnie poparły masy szlacheckie jako „swojaka” i syna wybitnego wodza, nie zapisało się niczym dobrym w historii Polski — walki stronnictw, zrywanie sejmów, konfederacje i nieudolność króla pograżyły kraj w marazmie. Tak kończył się drugi etap sarmatyzmu.

Po triumfie Jana Sobieskiego pod Chocimiem i wybraniu go na króla, a zwłaszcza po odsieczy wiedeńskiej wydawało się, że Polska odrodziła się z upadku. Jednak rosnąca pozycja króla musiała niepokoić magnatów, którzy łatwo przekonali masy szlacheckie do walki przeciwko niemu i jego planom, uniemożliwiając reformowanie kraju.

W 1697 roku królem, po licznych mniej lub bardziej zakulisowych rozgrywkach, wybrano elektora saskiego Augusta. Od tego momentu datuje się trzeci, najczarniejszy etap schyłkowy sarmatyzmu. Charakteryzuje go Jerzy Michalski:

Mentalność schyłkowego sarmatyzmu cechował (...) minimalizm ambicji, bierne akceptowanie słabości i nierządu Rzeczypospolitej jako faktów nie dających się zmienić, a w istocie niegroźnych, krótkowzroczny optymizm,

³³ N. Davies, op. cit., s. 448.

zacieśnienie zainteresowań do spraw polskiego partykularza, a nade wszystko zadowolenie z beztroski i względnego dobrobytu, jakie społeczeństwu polskiemu przyniósł długotrwały okres pokoju. ³⁴

To już nie ewolucja, wręcz przeciwnie, regres. Szlachta nie miała już nic do powiedzenia, zamykała się w swych zaściankach, faktycznie rządziła zaś magnateria, która, dbając o bezpieczeństwo własnych interesów, nie chciała zauważyć, że państwa ościenne rosną w siłę i za ich pomocą rozgrywają swoje gry. Polska była zaś swoistą planszą, co najpełniej pokazała wojna północna, kiedy to społeczeństwo podzieliło się na zwolenników Augusta II i Rosji oraz Stanisława Leszczyńskiego i Szwecji. Ci ostatni zdetronizowali Sasa i obwołali królem Leszczyńskiego, ale po zwycięstwie Rosji pod Połtawą w 1709 roku do Polski triumfalnie wrócił August, zmuszając rywala do opuszczenia kraju. Szlachta, bojąc się pacyfikacji Polski przez wojska rosyjskie, była skłonna do kompromisu i ustępstw, jednak król nie potrafił tej skłonności wykorzystać, za wszelką cenę dążył zaś do absolutyzmu. Zaowocowało to konfederacją w Tarnogrodzie w 1715 roku, a Piotr I wykorzystał sytuację i podjął się mediacji między stronami konfliktu. Jej rezultaty zostały przedstawione na sejmie „niemym” (w obawie przed jego zerwaniem nie pozwolono nikomu zabrać głosu), który umacniał zasadnicze elementy ustroju, ustalając chwiejną równowagę między królem i szlachtą, z Rosją jako gwarantem uchwał, co *de facto* oznaczało ograniczenie suwerenności.

Śmierć Augusta wyzwoliła chęć zmian, czego dobitnym dowodem było wybranie Leszczyńskiego przytłaczającą większością głosów. Niechęć do obcych rządów była powszechna, szlachta zaczęła otrząsać się z zastoju i rezygnacji: *W społeczeństwie szlacheckim zaczął narastać ruch odnowy, nie wszyscy pogrążeni byli w marazmie i obojętności wobec spraw państwa.* ³⁵ W odpowiedzi na te dążenia reformatorskie Rosja i Austria militarnie wsparły Augusta III i usadziły go na tronie, rozpędzając konfederację zawiązaną w obronie prawowitego króla.

³⁴ J. Michalski: *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVIII wieku*. W: *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*. Warszawa 1973, s. 139.

³⁵ J. Marciszewski, op. cit., s. 274.

Za rządów Augusta III dokonał się ostateczny rozkład państwa: „nierządem Polska stoi”, „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”, „musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce” — te porzekadła z epoki najdobitniej obrazują jej stan. Całkowicie znikła kultura polityczna, na trzynastu sejmach zwołanych po 1736 roku do skutku nie doszedł żaden. Edukacja praktycznie nie istniała, bo szkolnictwo jezuickie szerzyło fanatyzm religijny i zabobony. Podsumowuje to Cynarski:

W życiu kulturalnym i obyczajowym obserwujemy oznaki skostnienia i zwyrodnienia (...) Sarmatyzm, narodzony pod wpływem legendy historycznej, stał się synonimem zacofania i ciemnoty. ³⁶

Odosobniony jest sąd Grzybowski, że August III był jednym z lepszych władców.³⁷

U schyłku panowania Augusta dwa najpotężniejsze stronnictwa magnackie — Czartoryscy i Potoccy — zaczęli opracowywać projekty reform ustrojowych. Zdając sobie sprawę, że nie są w stanie sami ich przeprowadzić, szukali wsparcia u sąsiadów. Po śmierci króla Familia wezwała na pomoc wojska Katarzyny II, która na tronie posadziła swego kochanka, Stanisława Augusta Poniatowskiego (co kosztowało ją pół miliona rubli łapówek, ale w ostatecznym rozrachunku się opłaciło). Ale król zaskoczył tych, którzy sądzili, że będzie marionetką — okazał się być gorącym patriotą i zwolennikiem głębokich reform.

Aby je rozpocząć, należało się rozprawić z kulturą dawną, stąd w latach 60. XVIII wieku słowo *sarmatyzm* pojawiło się na łamach „Monitora” (główniej trybuny propagandowej ośrodka królewskiego) jako synonim prowincjonalnego szlacheckiego nieuctwa, fanatyzmu, skłonności do burd, pijaństwa i warcholstwa. Zauważa Janusz Pelc:

Istotę sarmatyzmu jako ideologii, mentalności i stylu życia szlachty polskiej, głównie w XVII wieku, określono w pełniejszym stopniu, i to poprzez negację, w okresie Oświecenia. Wówczas to szermierze

³⁶ S. Cynarski, op. cit., s. 294-295.

³⁷ S. Grzybowski, op. cit., s. 4.

nowego, publicyści przede wszystkim, pod nazwą sarmatyzmu zamknęli pewien zespół cech ideologii, postawy wobec życia i stylu życia, które w tych czasach były już wyłącznie przejawami wsteczności, łatwymi do wyszydzenia.³⁸

W innej książce dodaje, że:

W świetle tej krytyki Sarmaci to tłum ciemnych, zarozumiałych szlacheckich rębajłów, wychowanków szkół jezuickich, reprezentujących model rodziny patriarchalnej, zapatrzeni we własny interes, pieniaczy, dochodzących swych praw zajazdami i szablą, warchołów, przeciwstawiających się z zasady wszelkim próbom reform.³⁹

Wybitny znawca epoki Oświecenia, Mieczysław Klimowicz, wymienia cechy Sarmaty krytykowanego na łamach gazety:

Był to średnio zamożny szlachcic, przywiązany ślepo do dawnych obyczajów, wyznawca gorliwej religii katolickiej (...), zawzięcie zwalczający wszelkich heretyków i wolnomyślicieli. Jego program polityczny zawierał się w apologii złotej wolności, liberum veto, program społeczny – w głoszeniu i realizowaniu szlacheckiego mitu o nierówności społecznej, udokumentowanego argumentami z Biblii i historii rzymskiej, oraz mitu patriarchalnego, według którego chłop, traktowany na równi z inwentarzem gospodarczym, miał uznawać władzę pana jako pochodzącą od Boga. Obok ciemnoty, zabobonu, nietolerancji religijnej, wad takich jak pijaństwo i rozrzutność, cechą główną Sarmaty jest opór przeciw wszelkim „nowinkom” płynącym z zagranicy, zarówno w dziedzinie obyczajów, poglądów, jak i nowych metod gospodarowania. Łączy się z tym pogardzanie cudzoziemcami, wszystkim, co obce, oraz kult swojskiej tężyzny.⁴⁰

³⁸ J. Pelc: *Kontrreformacja, sarmatyzm a rozwój literatury polskiej*. W: *Wiek XVII – kontrreformacja – barok. Prace z historii kultury*. Red. J. Pelc. Warszawa 1970, s. 126.

³⁹ J. Pelc: *Barok – epoka przeciwieństw*. Warszawa 1993, s. 210.

⁴⁰ M. Klimowicz: *Oświecenie*. Warszawa 1998, s. 98.

O innych aspektach krytyki oświeceniowej wspomina Krzysztof Koehler:

Oświecenie krytykowało wiejską egzystencję — propagując przemieszkiwanie w miastach. Oświecenie krytykowało szlacheckie zwyczaje propagując nowoczesne współżycie społeczne i abstynencję. Wreszcie, Oświecenie atakowało tradycjonalizm — propagując tradycjonalizm nowoczesny. ⁴¹

Chodziło o to, by spojrzeć wreszcie w przyszłość, z czym szlachta miała na ogół problemy:

Przeszłość stanowiła przedmiot wiedzy, przeobfitą kopalnię przykładów moralnych, miejsce poszukiwań genealogii ruchów religijnych, stanów społecznych czy dynastii. Przyszłość była natomiast przede wszystkim przedmiotem obaw jednostkowych i zbiorowych, a mianowicie o zbawienie własnej duszy, o losy szlacheckiej Rzeczypospolitej czy wreszcie o możliwą a niespodziewaną zagładę świata. Dość często przypominano współobywatelom, iż muszą być godni swoich bohaterskich przodków, że winni być kontynuatorami ich wielkich poczynań. Nieporównanie rzadziej natomiast mówiono o odpowiedzialności wobec potomnych, których losy będą w dużym stopniu zależec od kształtu i osiągnięć dnia dzisiejszego. ⁴²

Atak na „stare” był ostry i bezpardonowy, jak zauważa Grzybowski:

Nieuczciwość chwytu polemicznego zastosowanego w epoce Oświecenia, której nie przeniknęli badacze późniejsi, polegała na wypreparowaniu z całości kultury staropolskiej pewnych cech i uznaniu ich za przejaw szlacheckiego nieuctwa i prowincjonalnego warcholstwa, a następnie rozciągnięcie wniosków na całość tej kultury. ⁴³

⁴¹ K. Koehler: *Sluchaj mię, Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*. Kraków 2002, s. 11.

⁴² J. Tazbir: *Świat Panów Pasków. Eseje i studia*. Łódź 1986, s. 105-106.

⁴³ S. Grzybowski, op. cit., s. 7.

Mimo wysiłków osiągnęto efekt odwrotny: coraz bardziej desperackie próby obrony starego porządku. Było to na rękę carycy i jej ambasadorowi Mikołajowi Repninowi, który wykorzystał konfederację radomską związaną w obronie „wiary i wolności” do sterroryzowania sejmu i zmuszenia go do uchwalenia tzw. praw kardynalnych (wolna elekcja, *liberum veto*, prawo wypowiedzenia posłuszeństwa królowi, wyłączność szlachty na posiadanie ziemi), o co chodziło konfederatom, ale i pełni praw politycznych dla innowierców, co już szlachtę oburzyło i zaowocowało kolejną konfederacją, związaną w 1768 roku w Barze. Objęła ona wszystkie warstwy szlacheckie, odniosła kilka sukcesów militarnych, ale przegrała swoją szansę, nie chcąc pojednania z królem.

Konfederacja radomska i barska były ostatnim wielkim ruchem politycznym na modłę staropolską. Jego klęska stanowiła kres dawnej sarmackiej Rzeczypospolitej, ale zarazem był on dowodem znaczenia sił konserwatywnych w społeczeństwie polskim. ⁴⁴

Przede wszystkim dała zaś pretekst do pierwszego rozbioru, gdyż za przyczynę Prusy, Austria i Rosja podały całkowity rozkład państwa i anarchię.

Ten sam sejm, który mimo protestu Rejtana zatwierdził traktaty rozbiorowe, utworzył dwa ważne, jak się później okazało, urzędy: Radę Nieustającą i KEN. Pierwszy rozbiór był szokiem i wielu zrozumiało, że reformy ustroju i administracji oraz podniesienie poziomu gospodarki i oświaty jest niezbędne, a konfederacje i rokosze mogą doprowadzić do kolejnej obcej interwencji:

Oświecenie zaczynało budzić szlacheckich mieszkańców Rzeczypospolitej z pełnego niebezpiecznych złudzeń snu; okazało się, że niepodobna uniknąć losu będącego udziałem wszystkich państw zacofanych w rozwoju politycznym i gospodarczym, a otoczonych przez silniejszych militarnie partnerów. ⁴⁵

Przez kolejne dwanaście lat trwało „odrodzenie w upadku”, z reformami szkolnymi,

⁴⁴ J. Michalski, op. cit., s. 147.

⁴⁵ J. Tazbir: *Kultura...*, s. 152.

gospodarczymi, przemianami społecznymi, wreszcie kulturalnymi. I tak przyszedł Sejm Czteroletni i jego ukoronowanie — konstytucja, która regulowała życie społeczno-polityczne w kraju, choć należy pamiętać o okolicznościach jej powstania.

Konstytucja uchwalona w drodze zamachu stanu (rozmyślnie wybrano dzień, kiedy większość posłów nie wróciła jeszcze do Warszawy z ferii wielkanocnych) stanowi od lat naszą chlubę i dumę, choć praktycznie nigdy nie weszła w życie. W rzeczywistości została uchwalona na pewno wbrew poglądom większości Polaków, którzy jeśli nawet nie wypowiadali się przeciwko niej otwarcie, to nie rozumieli jej idei. ⁴⁶

Niewątpliwie jednak te fakty świadczą o wielkiej woli działania i przeobrażania państwa, co podkreśla Marciszewski:

Tak jak bezprzykładny był upadek Polski, tak jej odrodzenie, dramatyczna walka o uratowanie niezawisłości państwowej, reformy Sejmu Czteroletniego — są fenomenem dziejowym, budzącym po latach podziw i szacunek. Popęlnilibyśmy błąd sądząc, że odrodzenie doby stanisławowskiej było oderwane od dziejów narodu i jego ówczesnej warstwy kierowniczej. Tkwiło ono swymi korzeniami w przeszłości, czerpało z niej pełnymi garściami. Kapitał myśli, tendencji i czynów ubiegłych wieków i minionych pokoleń nie został roztrwoniony. Historia okazała się skarbcem, do którego można było w potrzebie sięgnąć. Okazała się ona potężną siłą integracyjną chroniącą patriotyzm, przywiązanie do własnej państwowości i własnej kultury. ⁴⁷

Opinia publiczna krajów europejskich przyjęła zmiany zachodzące w Polsce z uznaniem, za to mocarstwa ościenne z niepokojem. Zwrócił na to uwagę Davies:

Słabość Polski znakomicie odpowiadała celom jej sąsiadów. Według ówczesnego frazesu, Polska była „karczmą Europy”. Co więcej, gdy

⁴⁶ K. Bockenheimer, op. cit., s. 202-203.

⁴⁷ J. Marciszewski, op. cit., s. 283-284.

tylko Polacy próbowali podjąć jakiegokolwiek kroki w kierunku zaprowadzenia porządku w swoim domu, zarówno Rosja, jak i Prusy podejmowały własne kroki, aby się upewnić, że nic się nie zmieni. ⁴⁸

Tak było i tym razem, a Rosji zadanie ułatwili przeciwnicy reform, którzy w kwietniu 1792 roku ogłosili konfederację w Targowicy, więc wojska rosyjskie wystąpiły nie w roli agresora, a sojusznika konfederatów. Wojsko polskie nie było w stanie z nimi walczyć, zresztą Poniatowski do końca miał nadzieję, że uda się przekonać carycę choć do części reform i dlatego przystąpił do konfederacji. Drugim czynnikiem była obawa króla przed interwencją zbrojną Prus. Rzeczywiście, Prusy nie interweniowały, ale nadzieja na ocalenie reform okazała się płonna, a większość ich twórców musiała udać się na emigrację. W kraju rządy przejęli targowiczanie, a jako że byli skłóceni, Katarzyna uznała, iż nadeszła pora na kolejny krok, i wraz z Fryderykiem Wilhelmem II znów podzieliła się Polską.

Nowy rozbiór wzburzył część konfederatów i opozycję parlamentarną, ale sejm w Grodnie uznał traktat. Uściślając, posłowie przez parę godzin milczeli i zostało to uznane za zgodę. Naród jednakże się zbuntował i w marcu 1794 roku wybuchło powstanie pod wodzą Tadeusza Kościuszki, gdzie w jednym szeregu stanęli do walki szlachta, mieszczenie i chłopci. Po początkowych sukcesach zaczęły narastać rozmaite trudności, a po wzięciu Kościuszki do niewoli powstanie upadło. To przypieczętowało losy kraju, z czego sam Naczelnik zdawał sobie sprawę — pod Maciejowicami, gdy został ranny, miał rzec: „Finis Poloniae”. Stanisław August abdykował 25 listopada 1795 roku, a Prusy, Rosja i Austria rozdrapały resztę kraju. Polska przestała istnieć, a jej mieszkańcy znaleźli się w zupełnie nowej sytuacji:

Zmiana w ich życiu dokonała się błyskawicznie. Niemal z dnia na dzień obudzili się w innym kraju. W zniechęconym, obcym, już teraz naprawdę absolutum dominium, straszaku całych pokoleń Sarmatów, z którego wizją zajadle walczone, nie oglądając się na interes Rzeczypospolitej; w którym nie obowiązywały już polskie prawa

⁴⁸ N. Davies, op. cit., s. 672.

kardynałne, a obywateli wysyłano na Sybir i pakowano do więzień bez oglądania się na wyroki sądowe (...) Rychło okazało się, że wolność, w imię której tyle razy urządzano rokosze przeciw własnym królom, zrywano sejmy, wycofywano własne wojska na tyły — przestała istnieć. ⁴⁹

Ale w tym tragicznym położeniu było coś, co pozwalało jasno patrzeć w przyszłość. Bo dopiero wtedy do Sarmatów coś dotarło i sięgnęli do swoich ideałów. Złota wolność, która zawsze była najważniejsza, stała się motorem napędzającym opór wobec zaborców. Już nie liczono na boską opiekę; samemu brało się los swój i kraju w swoje ręce. Przez cały okres zaborów każde pokolenie miało na swoim koncie zryw niepodległościowy. Pisze Grzybowski: *została tylko droga sarmacka: zbrojna, dumna, odważna. Odżyły stare wzorce, ale odżyły w towarzystwie nowych legend.*⁵⁰ Także literaci podsycali nastroje, budząc ducha Sarmatów z okresu świetności Polski i wielkich zwycięstw (stąd najbarwniejsze typy sarmackie w pisanej „ku pokrzepieniu serc” *Trylogii*), ewentualnie rehabilitując te aspekty sarmackiej ideologii, które były przydatne i nośne w sytuacji zniewolenia (jak np. mesjanizm w wersji Mickiewiczowskiej. O tym i o stosunku pozostałych wieszczów i romantyków do tradycji sarmackiej w ogóle pisze szeroko Andrzej Waśko ⁵¹). Według Koehlera:

Sarmackość stała się przestrzenią kulturalnej niezależności narodu, niejako substytutem politycznej i społecznej wolności Polaków (...) Stała się Sarmacja w wykonaniu uczestników „kultury obłąconej” Ziemią Obiecaną, symbolem, formą „wieku złotego” kultury polskiej, ku któremu należało się kierować, nie tylko w celu pokrzepienia serc, lecz także po to, by w Sarmacji doszukać się recepty na całkiem uzasadnione poczucie dumy narodowej. ⁵²

⁴⁹ K. Bockenheim, op. cit., s. 203-204.

⁵⁰ S. Grzybowski, op. cit., s. 71.

⁵¹ Por. A. Waśko: *Romantyczny sarmatyzm. Tradycja szlachecka w literaturze polskiej lat 1831-1863*. Kraków 1995.

⁵² K. Koehler, op. cit., s. 5.

Była to jedyna kultura, która mogła ocalić narodową wspólnotę, język, zwyczaje i ochronić je w zamkniętej przestrzeni dworku szlacheckiego do czasów, kiedy będzie je można bez przeszkód wydobyć na światło dzienne. Naturalnie, nie mówiono wtedy o błędach przodków, a raczej dokonywano mityzacji i mitologizacji szlacheckiej przeszłości. Taki był wymóg czasów.

Po II wojnie światowej odwrotnie, jedynie słuszny system i jego krzewiciele zrównali sarmatyzm z zaściankowością, a nade wszystko z ciemieniem chłopą. Chwiejność i skrajność postaw i ocen to nie nowość. Tazbir zwraca uwagę na dwie charakterystyczne tendencje w patrzeniu na przeszłość, nazywając je kolejno postawą przeszłościowo-optimistyczną (*zapatrzeniu w historię towarzyszy niemal z reguły akcentowanie minionych osiągnięć i mocarstwowej pozycji zajmowanej ongiś w Europie*) i porównawczo-pesymistyczną (*przypominanie, jak bardzo mimo wszystko pozostaliśmy w tyle za innymi krajami Europy, ciągle mierzenie, kiedy niemal dorównywaliśmy rozwojowi Francji, Anglii czy Holandii*).⁵³

W latach 70. ubiegłego stulecia liczne prace historyków i literaturoznawców zaczęły przynosić bardziej wyważone oceny. Nie ma apologetów sarmatyzmu, ale i nikt nie potępia go w czambuł; badacze skupiają się na przedstawianiu jego zalet i wad, a przede wszystkim próbują przełamać stereotypowe skojarzenia:

*Popelnia się pewien błąd utożsamiając szerokie pojęcie z jakimś wycinkiem dziejów. Sarmatyzm to rzeczywiście i liberum veto, i anarchia, i wreszcie Targowica. Ale sarmatyzm to też tolerancja, ruch egzekucyjny, idea federacyjnego i parlamentarnego ustroju, otwarta postawa wolności. Po prostu sarmatyzm to wielka szkatuła naszych nabrzmiałych sprzecznościami dziejów. To doniosła i prekursorska zapowiedź, którą sami wywiedliśmy na bezdroża.*⁵⁴

W ten nurt wpisuje się pieśniarz i poeta, z wykształcenia polonista, Jacek Kaczmarski, którego programem *Sarmatia* z 1994 roku zajmę się dokładniej.

⁵³ J. Tazbir: *Kultura...*, s. 155-156.

⁵⁴ T. Chrzanowski, op. cit., s. 28.

Chociaż już wszystko było powiedziane, powiem raz jeszcze na własny (?) rachunek

Jacek Kaczmarski, absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, wdarł się przebojem na niezależną scenę muzyczną biorąc udział w Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, którego laureatem został dwukrotnie, oraz Festiwalu Piosenki Prawdziwej w Gdańsku w połowie lat siedemdziesiątych. Miało na to wpływ kilka czynników: doskonały warsztat literacki i muzyczny (jego repertuar obejmuje ballady, bajki, przypowieści, monologi, dialogi, sonety, hymny, listy, limeryki), charakterystyczny sposób śpiewania: „płuca w strzępy rwę”, „ktoś mi może tutaj powie, / że już charczę”⁵⁵, ale przede wszystkim charyzma, która promieniowała z postaci pieśniarza. Niejednokrotnie żartował, że w ciągu lat koncertowania „dorobił się” wyznawców, którzy spijają słowa z jego ust, a przedmioty, których dotykał, traktują jak relikwie. Dla porządku należy dodać, że wyznawcy ci zmieniali się w trakcie kariery, bo kiedy repertuar — nazwijmy go walcującym — zamienił na osobisty, wielu uznało, że zdradził ideały. Wspominał kiedyś, że po jednym z koncertów podszedł do niego słuchacz i powiedział, że ma żal, bo „dawniej śpiewał pan o krwi, a teraz o spermie”. Wszelkie takie klasyfikacje są oczywiście umowne, bo wystarczy przesłuchać paru albumów z różnych okresów twórczości, by przekonać się, że tak naprawdę ciągle interesowały go te same tematy: historia, literatura, malarstwo, ale zawsze w kontekście człowieka, z jego

⁵⁵ Wszystkie teksty piosenek cytuję za: J. Kaczmarski: *A śpiewak także był sam*. Warszawa 1998.

walką, grzechami, dobrymi i złymi stronami. To bardzo renesansowo-barokowe z ducha podejście, zresztą na liście ulubionych poetów barda czołowe miejsce zajmuje Jan Kochanowski, któremu poświęcił przepiękny utwór zamieszczony w programie *Wojna postu z karnawalem*.

Ten szkicowy przegląd zainteresowań i inspiracji jasno pokazuje, że prędzej czy później musiało dojść do rozprawy z tą skarbnicą mitologii i stereotypów, jaką była Polska sarmacka, a której retoryka ożywa raz za razem, ostatnio przy okazji debaty na temat przystąpienia do Unii Europejskiej. Ale zanim Kaczmarek ułożył cały cykl, pieczołowicie napisany i przemyślane skomponowany, pisał teksty-wprawki do przedmiotu, którym miał się zająć dokładniej. Spójrzmy na trzy z nich: „Krajobraz po uczcie” z 1977 roku (z programu *Mury*), oraz emigracyjne już (bo stan wojenny zastał Kaczmarek w Paryżu, a poeta zdecydował się pozostać za granicą) „Zbroję” z 1982 i „Tradycję” z 1986 roku.

Pierwszy z nich mógłby swobodnie zamykać *Sarmatię* — wszak opisuje akt, który ją pogrążył, mianowicie abdykację króla Poniatowskiego. Gorzki to opis, nawet chwalebne czyny Sejmu Czteroletniego są kontrowane przypomnieniem tego, co nadeszło potem — „Świece świeciły, by nic nie oświecić”. Nie znajdziemy tu usprawiedliwienia dla króla; wręcz przeciwnie, cytowany tekst abdykacji wzbudza niechęć i potwierdza opinie niektórych historyków na temat ostatniego władcy Polski jako człowieka słabego, bez talentu politycznego, całkowicie podporządkowanego carycy. A pamiętajmy, że Kaczmarek pisał pracę magisterską z druków ulotnych m.in. okresu Sejmu, więc zna go lepiej od przeciętnego słuchacza i pewnie ma podstawy, by tak twierdzić.

„Zbroja” wpisuje się w te teksty z *Sarmatii*, które są pisane z perspektywy człowieka współczesnego obciążonego historią. Nie do końca jest to złe, bo brzemie takie pozwala na zachowanie kręgosłupa i bycie wiernym najlepszej patriotycznej tradycji (tytułowa zbroja jest bowiem „wykuta dla giganta”, „wykuta z mitów i wieczna jak mit”). To w zasadzie jedyny sposób na przetrwanie w zafałszowanej rzeczywistości — odwołania do współczesności są aż nazbyt oczywiste. Kaczmarek mówi tu jednym głosem z Herbertem (z wierszy „Potęga smaku” z 1982 i „Przesłanie Pana Cogito” z 1974 roku):

Wytresowali świnie
Kupili sobie psy
I w pustych słów świątyni
Stawiają ołtarz krwi
Zawodzi przed bałwanem
Półślepy kapłan-łgarz
I każdym nowym słowem
Hartuje pancerz nasz

Choć krwią zachłysnął się nasz czas
Choć myśli toną w paranojach
Jak zawsze chronić będzie nas
Zbroja

I nie bez powodu na okładce płyty *Sarmatia* widnieje reprodukcja fragmentu obrazu Jana Matejki „Studium zbroi Stefana Batorego”.

Wreszcie „Tradycja”. Ale jakże inne tu postrzeganie przeszłości. Współcześni są czyści jak łąza, a wszystkie nieszczęścia, niepowodzenia są rezultatem działań poprzednich pokoleń, państw ościennych i HISTORII:

Nie czyja inna — lecz ich wina:
Sojusz Hitlera i Stalina! (...)
To dumnej szlachty pyszne dni
Naszemu winne są nieszczęściu!
To za ich grzechy — myśmy czyści —
Gnębią nas teraz komuniści! (...)
To ich historia temu winna,
Że nasza będzie całkiem inna

Podmiot liryczny zdaje się być reprezentantem takiego typu myślenia „wybielającego”, ale w ostatniej chwili opadają go wątpliwości i traci rezon:

„Jeszcze Polska wtedy żyła,
Gdy za nią ginęli!” ...

Trawestacja słów hymnu zmusza do przemyślenia wszystkiego raz jeszcze. Rezultatem — *Sarmatia* właśnie.

Osiemnaście tekstów, różnorodnych stylistycznie, bazujących na historii bądź

własnym doświadczeniu, zmagających się ze stereotypami, w których pułapkę wszyscy piszący bądź myślący o tamtym okresie w dziejach Polski wpadamy. Zobaczymy, jak z tego starcia wychodzi Kaczmarek.

Cykl można podzielić, jak klasyczne wypracowanie, na trzy części: wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Wstęp obejmowałby utwory 1-3, zakończenie 16-18, reszta byłaby częścią główną. Ale nie jest ona jednolita, co można stwierdzić choćby tylko odczytując tytuły: albo odwołują się do konkretnych „przejawów” życia politycznego szlacheckiej Polski („Rokosz”, „Elekcja”), albo obyczajów („O zachowaniu się przy stole”, „Dobre rady Pana Ojca”, „Z pasa słuckiego pożytek”, „Czary skuteczne na swary odwieczne”), albo też ikon tamtego czasu („Warchoł”, „Prosty człowiek”, „Kniazia Jaremy nawrócenie”). Wstęp i zakończenie są również zróżnicowane; zostały wydzielone przez mnie w oparciu o tematykę i sposób kreacji podmiotu lirycznego. Tak oto po tradycyjnej suplikacji do muzy (tradycyjnej nie w sensie ujęcia tematu, a układu — konwencja nakazywała apostrofę do Muzy, lutni, poezji itp.) następuje opis drzewa genealogicznego jak najbardziej współczesnego człowieka i wreszcie pojawia się łącznik między światem tym i minionym: stara mapa. Dalsze teksty są już zanurzone w historii. Czas realny, tj. czas piszącego słowa wierszy powraca w podsumowaniu tej niezwyklej epoki, w diagnozie „charakterku” polskiego podanej za Gombrowiczem, w końcu w quasi-rozmowie z przodkiem.

Próba scharakteryzowania, opisanie i skomentowanie wszystkich aspektów historii Polski od XVI do XVIII wieku jest heroiczna. Kaczmarek nie rości sobie pretensji do podania jedynej obiektywnej prawdy, ale stara się być jej maksymalnie bliski, do czego służy mu rozgrywana z wirtuozerią gra z podmiotem lirycznym. Stanisław Barańczak w *Uciekinierze z Utopii* do opisu poezji Herberta używa m.in. terminów liryka bezpośredniego, maski i roli, które i w poezji Kaczmareckiego znajdują zastosowanie. Barańczak pisze:

Różnica między tymi trzema lirycznymi kategoriami jest bowiem właśnie różnicą stopnia dystansu pomiędzy autorem wewnętrznym a podmiotem mówiącym utworu. W wypadku liryki bezpośredniej (...) mamy do czynienia ze względny — na tyle, na ile to w ogóle możliwe

w dziele literackim – utożsamieniem podmiotu z autorem wewnętrznym. W wypadku liryki maski pojawia się element dystansu: autor „wyręcza się” podmiotem, swoją personą (...); maska nie jest jednak kompletnym przebraniem, z samego terminu wynika więc, że odbiorca w takiej sytuacji musi być świadom zarówno analogii, jak i nietożsamości maski (osobowości podmiotu) i twarzy (osobowości wewnętrznego autora, ukrytej za osobowością podmiotu, ale niemniej obecnej i dostrzegalnej). W wypadku wreszcie liryki roli, formalnie opartej na modelu monologu dramatycznego, dystans przybiera rozmiary najbardziej skrajne: podmiot jest nie tylko wyraziście nietożsamy z autorem wewnętrznym wiersza, ale nie może być również w żaden sposób traktowany w odbiorze jako jego „kostium”, porteparole czy persona, gdyż prowadziłoby to do poważnych nieporozumień.⁵⁶

W cyklu nas interesującym frekwencja jest następująca: we wstępie i zakończeniu dominuje liryka bezpośrednia, w rozwinięciu zaś liryka roli i maski. Co przez taki zabieg zyskał? Sprawdźmy.

⁵⁶ S. Barańczak: *Uciekinier z Utopii*. Wrocław 1994, s. 157-158.

Ach, z tego, czego już nie ma, jakież by mógł być świat

1. ŹRÓDŁO

„Do Muzy suplikacja przy ostrzeniu pióra”

Umieszczenie utworu o takim tytule na początku cyklu jest zgodne z konwencją — tak czynili poeci, tworząc swe tomiki. Muzę proszono o natchnienie, dobre przyjęcie tekstów, sprostanie tematowi. Podmiot liryczny tego wiersza prosi w zasadzie o to samo, ale do upersonifikowanej Muzy ma stosunek osobisty, wręcz intymny. W pierwszym wersie stawia się w roli ucznia, prosi o natchnienie, ale w sposób niespotykany. Otóż Muza jest tu kobietą z krwi i kości, bardzo atrakcyjną, która swoim ciałem i tańcem ma uwieść adepta. I tak pisanie jest konsekwentnie łączone z poetyką seksualną: „wargom mym podaj pierś”, „biodra wpraw w obroty”. Ta gra wstępna ma być na tyle długa, by „zbyt łatwo me utwory / Przedwczesną nie trysnęły strugą”. Sztafaż, który wybrał poeta, pisząc o trudzie tworzenia, zgrabnie łączy te dwie dziedziny — tak jak przedwczesny wytrysk dla kochanka, tak dla poety napisanie lub wydanie utworu nie do końca przemyślanego i dopracowanego jest porażką. Tylko to, co wymaga wysiłku jest coś warte — „niech z trudem się dobywa słowo / Opisujące jęk spełnienia”. Muza to kochanka chimeryczna, więc tym większa radość, gdy uda się ją ujarzmić. Ale pychy tu brak, ciągle obecna jest niepewność, czy robi się to dobrze.

Podmiot liryczny prezentuje też swe korzenie literackie:

Z gęsi sarmackiej moje pióro,
Które łacińską żądzą ostrzę.
Ocieka tłuszczem, pachnie skórą
I pryska, kiedy się rozzłoszczę.
Inkaust z krwi i okowity,
Z patoki złości, z pieszczot kropel
Tylko przy tobie z piórem zżyty
Nie ścina się w jałowy sopel.

Są one różnorodne: tradycja sarmacka (w warstwie słownej, stylistycznej), klasyczna (tematyka, być może także chęć pozostawienia po sobie śladu), ale i pisanie „całym sobą”, bardzo emocjonalne, rządzone nastrojami. Bardzo ludzka, humanistyczna to twórczość. I znów w ostatnim wersie podkreślona jest waga autentyczności i wysiłku.

Nasz poeta ma świadomość tego, że tematy go interesujące były już wielokrotnie tworzywem literackim, ale godzi się na to i śmiało wpisuje w tradycję, uprzedzając krytykę: „A tyle wierszy się pamięta, / Że krzykną zaraz mądre gremia, / Która skąd fraza jest ściągnięta”. Pomimo to liczy na powiedzenie czegoś nowego, ważnego, co być może umknęło innym, i o pomoc w tym odkrywaniu prosi Muzę, znów odwołując się do frazeologii seksualnej:

Tylko się pierwszy raz daj objąć
A niech już sobie krytyk kracze!
Choć mnodzy wciąż to z Tobą robią,
Daj wierzyć – zrobię to inaczej...

Ten pierwszy raz to kokieteria naturalnie, bo historia w tekstach Kaczmarek (to jeden z tych wypadków, w których można utożsamić podmiot z osobą twórcy) była, o czym już mówiłam wcześniej, zawsze obecna, ale prawdą jest także, że to pierwszy kompleksowy program na jeden *stricte* historyczny temat. Stąd poważny i proszący ton w ostatnim wersie oraz nadzieja, że sprosta się wyzwaniu.

„Drzewo genealogiczne”

Po prośbie o pomoc pora na określenie, czy może raczej przedstawienie się, umotywowanie poważenia się na pisanie o czymś tak złożonym jak okres sarmatyzmu i to w dodatku przez osobę niebędącą historykiem. Kaczmarek dość wiernie przedstawia dzieje swej własnej rodziny (*vide Pożegnanie barda*, wywiad-rzeka przeprowadzony przez Grażynę Preder, Koszalin 1996, s.5-7), ale nie to jest najważniejsze. Naprawdę chodzi bowiem o to, że losy jego rodziny są losem większości polskich rodzin i symbolizują poplątanie polskiej historii, trudność rozdzielenia narodowości „czystej krwi”, czynów chwalebnych od hańbiących, zwłaszcza, że ich kwalifikacja zależy w dużej mierze od czasów, w których są oceniane. Ten przegląd przez dzieje Polski na przykładzie losów jednej osoby dobitnie pokazuje, jak zawikłana historia to była i pozwala sądzić, że każdy z nas mógłby podobną opowiedzieć.

Kaczmarek wychodzi od najstarszej wzmianki o Polsce jako fragmencie bursztynowego szlaku (Ptolemeusz, *Nauka geografii*), potem pora na mityczne pradzieje (Popiel z legend Kadłubkowych), dopiero później wchodzi na scenę historyczne początki: budowanie Krakowa, bitwa pod Grunwaldem, wzięcie Moskwy. Wszystkie te wydarzenia-symbole są przywołane tylko po to, by poinformować, że nikt z „praszczurów” (bardzo trafne połączenie określenia oznaczającego przodków ze zwierzętami, które zjadły legendarnego Popiela) czy „pradziadów” autora słów nie brał w nich udziału. Za to na zasadzie kontrastu pokazane jest, w czym udział brać mogli:

Za to jacyś przodkowie (widzę po swych ustach,
Których krój Epikura psuje wstyd nieszczerzy)
Musieli czuć się dobrze przy Saskich Augustach
I z Ciołkiem zwiedzać chętnie ogrody Wenery.

Podmiot liryczny wyraźnie drwi tu i ironizuje z mody na „uszlachetnianie” swego pochodzenia na siłę, co było w interesującym go okresie nagminne — do tego stopnia, że niejednokrotnie wywodzono początek rodu (bo że narodu, to oczywiste) z *Biblii*, a posiadanie sławnych przodków nobilitowało. Pisze o tym Bystron:

Bardzo wielką uwagę przywiązywano do pochodzenia rodziny i troskliwie utrzymywano tradycję genealogiczną. Była ona ceniona jako dowód szlachetności i wielkości rodu, zwłaszcza o ile wśród krewnych czy powinowatych wykazywano książęce i senatorskie rody (...) Od najmłodszych więc lat uczono dzieci rodowodów i przepajano je kultem dla rodu i dumą z zaszczytnego pochodzenia (...) Oczywiście genealogie te nie zawsze były prawdziwe! (...) Wyszukiwano więc możliwie dostojne parentele, przypisywano własnej rodzinie zasługi i dostojeństwa innych, co uchodziło zwłaszcza przy tożsamości czy podobieństwie nazwiska.⁵⁷

Tymczasem w tekście bez żenady prezentowane są rzeczy, którymi na ogół nikt się nie chlubi. I tak zestawione są walka z hedonizmem, wielcy władcy z tymi miażdżąco ocenianymi przez historię (dodatkowo pomniejsza się rangę, określając jednego z nich tylko herbem, w dodatku takim, który w potocznym odbiorze jest deprecjonujący, i pozbawiając atrybutów królewskośći poprzez pokazanie go jako osoby korzystającej głównie z uciech życia).

Te wnioski podmiotu lirycznego to tylko przypuszczenia, w dodatku wysuwane nieuprawnienie, bo odczytywane z rysów własnej twarzy (tu nie sposób nie uniknąć skojarzenia z Herbertowskim Panem Cogito, który w jednym z wierszy, obserwując się w lustrze, odczytuje ze swojego ciała ślady przeszłości). Dalej jednak ujawnia Kaczmarek jednego ze swych historycznych, autentycznych przodków: żołnierza-poetę, legendę walk niepodległościowych u boku Kościuszki, Jakuba Jasińskiego. I – analogicznie do poprzedniego przypadku (wydatne usta wskazują na przodków-sybarytów) – zastanawia się, czy stąd jego niechęć do kleru i ludzi tzw. szlachetnie urodzonych.

W następujących po sobie zrywach narodowych znów brak śladów jego rodziny:

⁵⁷ J. S. Bystron: *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVII*. T. 1. Warszawa 1976, s. 166-167.

Nie słyhać o mym rodzie w Noc Listopadową
I nie zasilał chyba styczniowych patroli,
Z Syberii żaden z moich z posiwiąłą głową
Nie wracał, by napisać księgę swych niedoli.

Za to mówi szeroko o swym pochodzeniu narodowo-społeczno-politycznym:

Za to jakiś zmarznięty francuski gwardzista
Miło ogrzał się w jednym z litewskich powiatów,
A znów Tatar Potockich czarnym okiem błyskał
Do stołecznej działaczki „Proletaryatu”.

Potem nastąpił wielki kataklizm II wojny światowej, który zmiotł sporą część rodziny — „Najświeższe drzewa rodu mojego gałązki / Spłonęły za murami w Getcie i w Powstaniu”, a ci, którzy przetrwali, musieli zaaklimatyzować się w nowej rzeczywistości, tj. w powojennym grząskim gruncie (tu metafora drzewa zyskuje dosłowne znaczenie, a sam podmiot prezentuje się jako pączek z tego drzewa). W takim momencie nasz bohater przychodzi na świat. Tak pisze o sobie:

Chodziłem do kościoła — oglądać witraże,
W komunistycznej szkole miałem same piątki,
Od dziecka byłem głodny podróży i wrażeń
Nieświadom, że to złego miłe są początki.

Nie mam blizn po kajdankach, napletek posiadam,
Na świat przyszedłem w czepku, nie pod ułańskim czakiem;
Po dekadzie wygnania — polskim jeszcze władam,
Proszę więc o dokument, że jestem Polakiem.

Standardowy życiorys przeciętnego człowieka urodzonego w tamtych czasach, a jednocześnie rozprawienie się z definicją tzw. prawdziwego Polaka. Taki bowiem nie chodzi do kościoła dla wrażeń estetycznych, nie mówiąc już o tym, że nie wypada mu mieć dobrych ocen w reżymowej szkole. Ciąg zdań przeciwstawnych odkrywa kolejne elementy układanki — brak blizn, ale jest napletek (więc — nie Żyd! Ale jak to, skoro dopiero co mówił o rodzinie w getcie? Nie szkodzi, tego nikt już nie będzie dociekał, grunt, że na pierwszy rzut oka widać, kim jest); bez tradycji ułańskich, ale jednak dobrze urodzony; mieszkający na emigracji, ale jednak

władający polskim. Skoro to wystarczy, to kogo i po co prosi o dokument zaświadczący o jego polskości? Nas, słuchaczy? A jakież my mamy prawo decydowania o tym, kto jest, a kto nie jest Polakiem?

Pisze Marcin Wroński:

*Kaczmarek na swoim własnym przykładzie pokazuje nam, że można być Polakiem mimo tego, że przodkowie nie byli pod Grunwaldem, nie uczestniczyli w powstaniach, że byli wśród nich ludzie o różnych charakterach, że można być Polakiem mimo dobrych ocen w komunistycznej szkole i mimo dekady spędzonej na emigracji – wszystko, co tu wymieniłem to w oczywiste w dużej mierze symbole, ważne symbole nawołujące do zgody i pojednania, skończenia z wewnętrzną sprzecznością, z ciągłym oglądaniem się za siebie, nawołujące do zaakceptowania siebie, pogodzenia się ze sobą.*⁵⁸

A sam poeta dodaje:

*Nie chciałbym dzielić Polaków na prawdziwych i nieprawdziwych. Co więcej, nie sądzę, żeby ci, którzy nazywają siebie Polakami-katolikami, a nawet uważają się za stronników jedynie słusznej polskości, nie byli tylko dlatego dobrymi Polakami, że ich horyzont ograniczony jest do pewnych symboli, np. katolicko-szlacheckich. Nie są dla mnie czymś kimś gorszym czy obcym. Są po prostu tylko innym przykładem polskości. Jeżeli coś mi w tym rozkładzie sił nie odpowiada, to to, że usiłuje się przeprowadzić pewien proces „urawniłowki”, wyznaczyć odgórne kryteria polskości. Siłą rzeczy robią to ci, którzy mają pewną łatwość tworzenia haseł, symboli i etykietek. Natomiast tacy Polacy jak ja, z natury rzeczy wątpiący, rozważający za i przeciw i szukający niuansów, mają o wiele mniejszą siłę przebiccia.*⁵⁹

Ale Kaczmarek nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

⁵⁸ M. Wroński: *Opis charakteru Polaków i narodu polskiego* na www.kaczmarek.silken.art.pl

⁵⁹ *Pożegnanie barda. Z Jackiem Kaczmarekiem rozmawia Grażyna Preder*. Koszalin 1996, s. 7.

„Na starej mapie krajobraz utopijny”

Ta mapa reprodukowana jest na okładce płyty (Joan Blaeu, „Polonia Regnum, et Silesia Ducatus”). To znaczy niedokładnie ta, ale przedstawiająca Sarmację właśnie, która podmiotowi nad nią zadumanemu jawi się jako Arkadia, kraina wszelkiej szczęśliwości, *Terra Felix*. I faktycznie, opis sprawia wrażenie, że oto utrwalony został świat, którego już nie ma, a może i nigdy nie było.

Na początek Zefiry dmuchające na zimne. Ten związek frazeologiczny oznacza, jak wiadomo, „bycie zapobiegliwym”. Możliwe więc, że chodzi o zachowanie tego świata w niezmienionym kształcie. Co w nim takiego niezwykłego?

Sposób opisu jest wręcz filmowy, ma się wrażenie śledzenia ruchów kamery (lub ręki trzymającej szkło powiększające). Najpierw szeroki plan: na górze Zefiry, wraz z ich podmuchem kamera schodzi niżej i rejestruje puszcze i bory, rzeki i jeziora, wioski i miasta. Następuje zbliżenie: woda faluje, unosi się na niej statek (warte odnotowania są pomysłowe metafory — ze świata zwierzęcego w odniesieniu do wody właśnie: „Jeży się sierść rzek i jezior, jak pchła wskakuje w nią statek” i ludzkiego w odniesieniu do ziemi: „Nad szorstką skórą pustkowi”). Interesujący jest kontrast między pełną życia wodą, a jakby postarzałą ziemią, co zwiastuje rychłą katastrofę). Pojawiają się ludzie: postać na koniu patrząca na pobliskie wzgórza i chłop pracujący w polu; kamera zatrzymuje się u dołu i mamy zbliżenie na grudę ziemi poruszoną radłem. I znów odjazd do góry: na mapie zaznaczone są nazwy krain mitycznych na jedwabnych wstęgach, które urzekły tego, który „wędruje” po niej. W refrenie pojawiają się słowa znamionujące próbę dotarcia do świata, który minął, ale nie jest to łatwe ze względu na „przestrzeń burz i kipiel czasów” rozdzielające teraźniejszość od przeszłości.

Kolejne obrazy pokazują sielskość tamtej rzeczywistości: dyskutujących mieszczan na moście (ale nie — kłócących się: „senna dysputa”), sąsiedztwo kościoła, zboru i cerkwi (pokojowe współistnienie religii) oraz spichlerza (by zaspokoić potrzeby duszy i ciała). Krajobraz to niezwykle sentymentalny: zakole rzeki, pola (ciśnie się wręcz na usta „malowane zbożem rozmaitem”), bocian, dąb... Toż to kwintesencja polskości, choćby i kiczowatej, ale utrwalonej w masowej wyobraźni.

W ostatniej strofie zerkamy na rozgwieżdżone niebo, z którego to astronomowie odczytują wróżby dla kraju. Ostatni obraz to władca w gronie doradców, który chce tworzyć przyszłość kraju niezależnie od wróżb. Władca charakteryzowany jest pozytywnie: „ceni przyjemność i pracę, szanuje rąk ludzkich twory, / Nęcą go księgi tajemnic, cieszy go ład i dostatek.” Okazuje się, że władca także co wieczór zerka na miedzioryt z mapą – może w poszukiwaniu inspiracji? I tylko niejasnym lękiem napawają ostatnie wersy utworu – bo skoro Sarmatia warta jest tego, by ją opisywać, o niej śpiewać i z jej wzorców czerpać, skoro istnieje GDZIEŚ, to kim jest to bóstwo o okrutnych rysach, na którego barkach się wspiera? Może to druga strona tamtej epoki, ta ciemna? Trudno jednoznacznie rozstrzygnąć.

Wprowadzenie już mamy za sobą. Pora na dokładną analizę przejawów sarmackości widzianej oczyma Kaczmarzkiego.

2. LEKCJA HISTORII (NIE)KLASYCZNEJ

Dwanaście piosenek-wierszy punktujących, dotykających, kwestionujących to, z czym kojarzy nam się Sarmacja. Skoro autor ułożył je w takiej, a nie innej kolejności, należy tę wolę uszanować i zająć się poszczególnymi tekstami chronologicznie, bo często jeden punktuje drugi, ustosunkowuje się do niego, poszerza perspektywę interpretacyjną.

Zdumiewająca jest galeria postaci. Kamionkowa wyróżniła swego czasu trzy wzorce osobowe Sarmaty: gospodarz, rycerz i junak. Każdemu z nich można przypisać emblematyczny rekwizyt (kolejno to pług, szabla, puchar) oraz konkretne cechy charakteru: gospodarską zapobiegliwość, gościnność, serdeczność i poczciwość; rycerskie poczucie humoru, odwagę, zdolność do poświęceń i umiłowanie ojczyzny; junacką krewkość i temperament, skłonność do bitki i wypitki, pieniacką chęlniwość, humor i fantazję.⁶⁰ Większość z nich pojawia się i u Kaczmarzkiego: jest typowy Sarmata (ojciec, warchoł, tłum na rokoshu czy elekcji), tłuszcza wierząca w zabobony, margines społeczny (żebracy i złodzieje), ale i postaci jak

⁶⁰ A. Nawarecki: *Sarmatyzm*. W: *Słownik literatury polskiej XIX wieku*. Red. J. Bachórz i A. Kowalczykowa. Warszawa 1991, s. 858.

kniaź Jarema czy Mikołaj Rej. Każdy dostaje prawo głosu, prawo wypowiedzenia swoich racji — temu służy właśnie liryka maski i roli, o której była mowa wcześniej. Często ma to wydźwięk ironiczny, ale równie często tragiczny i zmuszający czytelnika-słuchacza, jeśli nie do zmiany zdania na jakiś temat, to przynajmniej do zrewidowania mechanicznie powtarzanych fraz. Wszystko po to, by pokazać, iż nie można patrzeć na tamten okres na zasadzie białe-czarne (tu Kaczmarek wpisuje się w nurt historyków, o których była mowa we wstępie) i jeszcze, by uwrażliwić nas na wady narodowe, z których często nie zdajemy sobie sprawy, lub, co gorsza, uważamy za zalety, podczas gdy prawdziwych zalet tamtej epoki nie doceniamy. W rozmowie z Grażyną Preder na jej uwagę, że najczęściej w tekstach odwołuje się do historii, Kaczmarek odpowiedział:

(...) Nie zgodziłbym się z tezą, że poruszam się wyłącznie w kręgu historii czy historii kultury. Jest to pewien sztafaż, który pozwala zyskać dystans do tematów aktualnych, czyli podnosić szczebel do rangi symbolu. Z drugiej strony jest to wyraz głębokiego przekonania, że wyłącznie w rozmowie z przeszłością można znaleźć istotne sensy ludzkich poczynań, zachowań, mechanizmów społecznych, a także można przekonać się, że nasze rozterki nie są niczym wyjątkowym, niczym nowym. Natura ludzka nie zmieniła się. Wszystko to, co przeżywamy, przeżywali też ludzie wiele tysięcy lat temu. i dawali temu wyraz w sposób niejednokrotnie bardziej klarowny i przejrzysty, niż my to potrafimy robić.⁶¹

Nie ma jednak złudzeń, że potrafimy wyciągać wnioski z przeszłych wydarzeń:

[historia] nauczycielką życia chyba nie jest (...) W moim przekonaniu jesteśmy skazani na powtarzanie błędów naszych ojców.⁶²

⁶¹ *Pożegnanie...*, s. 121.

⁶² *Ibidem*.

„Dobre rady Pana Ojca”

Jak to zwykle w życiu bywa, starsi przekazują swoją wiedzę młodszym, a już oczywiste jest, że ojciec przekazuje ją synowi. Nie jest to przeważnie wiedza książkowa, lecz życiowa, niejednokrotnie dużo bardziej cenna. Rady przekazywane przez ojca to wskazówki, jak żyć. Są bardzo proste: należy słuchać ojca, zostać na ziemi dziedziczonej od przodków, pielęgnować polskie zwyczaje, wiedzę czerpać od księdza, uczyć się głównie jazdy konnej, władania szablą i picia (po tym bowiem poznawało się szlachcica), strzec ojczyzny ograniczonej do własnej posiadłości, czerpać korzyści dla siebie skąd się da („Jak już musisz być w stolicy / Patrz co robią politycy. / Na elekcjach dawaj kreskę / Nie za słowa, a za kieskę”), dawać na mszę, żenić się wcześniej i płodzić dzieci. Ta recepta na życie sprawdza się od dawien dawna („Tu przez wieki twoje dziady dały nauk tych przykłady. / Tu przez wieki twoje wnuki / nie przepomną tej nauki”), więc prawdopodobnie sprawdzi się i w przyszłości. Puentą jest buńczuczne zawołanie — „Taką stoi Polska racją / Na pohybel innym nacjom!”

Naturalnie, ojciec ten to klasyczny, podręcznikowy przykład Sarmaty jako reprezentanta zaściankowości, zacofania i ciemnoty, uosobienie cech negatywnych. A jak naprawdę wyglądało życie rodzinne i wychowanie młodego człowieka?

Rodzina ma charakter patriarchalny, jak zresztą cały świat staropolski:

Ów model powtarzał się w innych większych organizmach staropolskiego świata, modelując je w specyficzny sposób. Cały ów świat zbudowany był zgodnie z patriarchalnym schematem. Boga wyobrażano sobie jako ojca, kochającego, ale i karcącego w słusznym gniewie nieposłuszne dzieci — ludzi. Król miał być ojcem Rzeczypospolitej, szlachcic — ojcem poddanych, którzy winni mu byli synowskie posłuszeństwo i korny szacunek.⁶³

Te same zasady dotyczyły dzieci:

⁶³ M. Bogucka: *Staropolskie obyczaje w XVI-XVII wieku*. Warszawa 1994, s. 62.

Dla dzieci uosabiał on wręcz władzę, nazywały go zwykle „panem ojcem”, nie śmiały usiąść w jego obecności. Między ojcem a dziećmi istniała więź opierająca się nie tyle na serdeczności, wzajemnym zaufaniu, co raczej na zasadach obowiązującej tradycji, respekcie i strachu. Zakaz ojcowski uniemożliwiał podjęcie jakiegokolwiek decyzji (...) ⁶⁴

Jak pisze Renata Gałaj:

Dorosły, samodzielny, żonaty mężczyzna tamtych czasów był panem w swoim domu, sędzią i wyrocznią dla służby, dzieci i żony. Trudno było unikać wypełniania jego woli. ⁶⁵

Ojciec z tego utworu zatem nie odbiega od modelu ojca w dawnej Polsce. Za to wychowanie niezupełnie wyglądało tak, jak nam je przedstawiono.

Chłopcy — a nimi się właśnie zajmujemy, bo ojciec adresuje swe uwagi do syna — po początkowej nauce w domu byli wysyłani do kolegów jezuickich lub pijarskich, gdzie uczyli się głównie łaciny (do innych przedmiotów nie przywiązywano wagi jako do nieprzydatnych w życiu). Nie było obowiązku nauki, bo dygnitarstwa nie były obsadzane według kwalifikacji intelektualnych, lecz według znaczenia rodu, ale większość szła do szkół, by nauczyć się choćby sztuki przemawiania, mogącej później pomóc zgromadzić popleczników. Dużo czasu poświęcano na gry i doskonalenie trzech umiejętności: jazdy konnej, fechtunku i strzelania. Według Krystyny Bockenheim:

Współzawodnictwo na świeżym powietrzu dawało chłopcom radość życia i sprzyjało rozwijaniu się temperamentów. Prymat i szacunek należał się ojcu i wyżej postawionym, natomiast równi pozycją mogli w każdej chwili stać się przeciwnikami. Z czasem przeradzało się to w zaciorność i skłonność do bitki. ⁶⁶

⁶⁴ Z. Kuchowicz: *Obyczaje staropolskie*. Łódź 1975, s. 206.

⁶⁵ R. Gałaj: *Życie codzienne szlachty polskiej w okresie sarmatyzmu*. Szczecin 1998, s. 22.

⁶⁶ K. Bockenheim, op. cit., s. 37.

Kolejnym etapem był wyjazd zagraniczny, dosyć często praktykowany, a w środowiskach magnackich należący do dobrego tonu. Młodzieńcy nie jeździli jednak — jak to miało miejsce w renesansie — w poszukiwaniu wiedzy („Cudzoziemskich ksiąg nie czytaj, / Czego nie wiesz — księdza pytaj”), a raczej dla przyjemności: *Szlachtę interesowało bardziej zwiedzanie (...) Często takie podróże dla studiów przypominały turystyczne peregrynacje, łączono je z pielgrzymkami do miejsc świętych.* ⁶⁷ Po powrocie byli upewnieni co do doskonałości ustroju w Polsce i wyższości Rzeczypospolitej nad obcymi krajami. Megalomania szlachecka wybujała na przełomie XVI i XVII wieku i łączyła wysokie mniemanie o sobie z pogardliwym stosunkiem do innych, co prowadziło do ksenofobii. Tazbir twierdzi, że relacje my-zagranica były oparte w większej mierze na z góry przyjętych założeniach niż na rzeczywistej obserwacji ⁶⁸ i pewnie po trosze tak było, ale słusznie zauważa badaczka, że oglądanie królobójstwa, monarchów na szafocie itp. musiało budzić zadowolenie z życia w kraju, w którym takie czyny były nie do pomyślenia. ⁶⁹ Poza tym obyczaje były zdecydowanie odmienne od tego, do czego byli przyzwyczajeni: inna kuchnia, inne trunki, wreszcie inna moda. W Polsce pogardliwie patrzono na modnie ubranych i uczesanych, a co gorsza pachnących mężczyzn (np. w otoczeniu króla Walezego; w ogóle dwór zawsze drażnił swoją obcością, bano się tego, że swoje obyczaje zechcą krzewić w Polsce, może nawet się tu osiedlić, a już na pewno dążyć do absolutyzmu, choć to ostatnie bardziej dotyczyło obcego króla niż jego dworu), uważano ich za „niemęskich”. Puder, rajtuzy i pachnidła były dobre dla kobiet. Stąd w utworze pojawia się fragment:

Nie wyjeżdżaj w obce kraje,
Bo tam szpetne obyczaje (...)

One Niemce i Francuzy
Mają pludry i rajtuzy.
Niechrześcijańską miłość głoszą
I na wierzchu jajca noszą.

⁶⁷ M. Bogucka, op. cit., s. 34.

⁶⁸ Por. J. Tazbir: *Kultura...*, s. 144.

⁶⁹ K. Bockenheimer, op. cit., s. 34.

Pyski w pudrach i pomadkach,
Wszy w perukach, franca w zadkach.

Trąci to hipokryzją. Wprawdzie badaczy obyczajów niespecjalnie zajmuje życie seksualne szlachty, ale dla porządku dodajmy, że do czasów kontrreformacji korzystano z uciech cielesnych bez większych ograniczeń, a i potem, mimo potępienia przez Kościół rozpusty i stosunków pozamałżeńskich, znajdowano sposoby na pofolgowanie sobie (dotyczyło to także tych, którzy potępiali, czyli kleru i zakonników) i — zwłaszcza mężczyźni — niespecjalnie się ze swymi miłośkami kryli.⁷⁰

Po powrocie młody panicz, jeśli nie szedł na dwór do magnata, osiadał na roli w swojej rodzinnej posiadłości:

*Tylko rolnictwo było godnym szlachty zajęciem. Kto nie miał lub też nie chciał się trudnić gospodarką, miał przed sobą kilka możliwości: mógł do wojska wstąpić, mógł uczeplić się dworu królewskiego czy magnackiego, mógł zabawiać się urzędem, wreszcie przyjmował święcenia, ale nie mógł, pod groźą utraty klejnotu szlacheckiego, trudnić się rzemiosłem czy handlem.*⁷¹

— „Z targowiska nie bierz złota — / to żydowska jest robota.”

Zobowiązany był do obrony honoru, który równał się obronie rodu przed obrazą. Stąd liczne burdy i zajazdy — „Nie wiesz, gdzie się czai zdrada — / Uczynź zajazd na sąsiada.”

Już od czasów Reja życie na wsi, w gronie rodziny i przyjaciół, przy rozlicznych zajęciach gospodarskich było najwyższą wartością. Istotne było to, że ten ziemianin w każdej chwili mógł się zamienić w żołnierza. Pamiętajmy, jak to wyglądało w praktyce:

Proces agraryzacji pociągnął za sobą nie tylko osłabienie owej sławionej tężyzny sarmackiej (...) Wzmagala ona także proces izolacji

⁷⁰ Por. Z. Kuchowicz, op. cit., s. 357-406.

⁷¹ J. S. Bystron, op. cit., s. 155.

kulturalnej szlachty zamkniętej w obrębie swej ziemi czy powiatu. Ogólny wzorzec kulturalny stawał się coraz bardziej ograniczony. Sarmatyzm przybierał postać wiejską, ten bezruch wpływał na potęgowanie się konserwatyzmu. Sarmacki styl życia był ściśle związany z apologią posiadania wsi, gniazda rodowego. ⁷²

Charakterystyczne jest, że ta „struktura małych sąsiedztw” (termin Andrzeja Zajączkowskiego) tworząca na początku swoistą ojczyznę w pigułce („Twoja sprawa – strzec ojczyzny, / Czyli własnej ojcowizny.”) i wszechpająca od dzieciństwa poczucie patriotyzmu i obowiązku wobec ziemi przyczyniła się do tworzenia kultury zamkniętej, niechętniej obcym wpływom, zachowawczej. Jak pisze Chrzanowski: *struktura małych sąsiedztw zaczęła się niestety przeobrażać w strukturę wielkiego zaścianka.* ⁷³ I to w dodatku ulegającego degeneracji:

Rzeczpospolita stała się jakby luźnie związanym zespołem tysięcy autokratycznych folwarków tworzących zamknięte światy, pilnujących swej odrębności. Władcy ich, głosząc wolność, nie poczuli się do obowiązków wobec państwa, a jeśli udział w życiu publicznym brali, to dla ambicji, zaszczytów i sukcesów. Wytwarza się obojętność dla spraw publicznych (...) ⁷⁴

Jednak raz na jakiś czas trzeba było się wybrać na sejm lub elekcję – „Jak już musisz być w stolicy / Patrz, co robią politycy.” Przekupstwo było powszechne: magnatów korumpowały obce dwory, oni z kolei korumpowali szlachtę i to w gruncie rzeczy wielkie rody rozgrywały między sobą polityczne gierki posiłkując się klientami, co z czasem przerodziło się w paraliż organów władzy, o czym była mowa we wstępie.

Swoje wywody ojciec podsumowuje każdorazowo zwrotem:

Nalej ojcu, gardło splecz
Ucz się na Polaka, ucz!

⁷² S. Cynarski, op. cit., s. 287-288.

⁷³ T. Chrzanowski, op. cit., s. 17.

⁷⁴ J. S. Bystron, op. cit., s. 155.

O pijaństwie w Polsce zapisano tony papieru. Jak na normy dzisiejsze, pito bardzo dużo, na ucztach do picia wręcz zmuszano, kielichy bywały wielkości sporego garnka, prześcigano się w wymyślaniu toastów, wreszcie w tej kwestii panowało równouprawnienie absolutne — już niemowlęta pojono wódką „na wzmocnienie”, a picie kobiet nikogo nie oburzało. Kuchowicz próbuje nieco złagodzić obraz nigdy nietrzeźwiejącej Polski, zwracając uwagę, że piwo było traktowane jak dzisiaj kawa lub herbata, a często stanowiło składnik pożywienia (np. w polewce); że wódkę stosowano raczej jako lekarstwo (inna sprawa, że kuracja obejmowała picie kieliszka co godzinę); że alkohol podczas posiłku odgrywał wręcz zbawienną rolę, bo pomagał trawić ciężkie, tłuste i czasem nieświeże pokarmy. Problemy brały się natomiast stąd, że alkohol pito na czczo i często trunki mieszano, nie przepuszczano żadnej okazji do napicia się i że niemożliwe było załatwianie spraw publicznych „na sucho”. Krótko mówiąc, picie było obowiązkiem i należało się go uczyć.⁷⁵ Te fatalne nawyki zmienił dopiero Stanisław August, który pijaństwem się brzydził. Ale Polacy i tak cieszą się sławą opojów, czego dowodem funkcjonujące do dziś francuskie *ivre comme un Polonais* (pijany jak Polak).

Utwór ten nie przekłamuje więc faktów, ale jedynie je przejawia w celu uwypuklenia problemów i osiągnięcia lepszego efektu, a zastosowanie liryki roli wzmaga prześmiewczą i ironiczną wymowę tekstu.

Na tym tle zupełnie inaczej brzmi głos Mikołaja Reja. To głos zza grobu, niepodobny do głosu autora *Żywota człowieka poczciwego*. Jest on zgorzkniały, rozczarowany, pesymistyczny:

 Nie pożywa, jak chciałby nawet człek poczciwy:
 Nie poziera na krówki swoje ni gąsięta,
 Nierad słońku, że świeci, miesiącowi krzywy,
 Ledwie czoło wygładzi w Betlejemskie święta.
 Gorzko miód mu smakuje, gorzko słowa w uśmiech,
 Nie pośpiewa przy lutniej, chyba gorzkie żale,
 Ni mu szukać się zachce radości w rozpuście,
 Żonka milczy i drobiazg nie swiergoli wcale.

⁷⁵ Por. Z. Kuchowicz, op. cit., s. 60-107.

To, z czego dawniej czerpał radość i wywodził swą piękną humanistyczną filozofię poprzestawania na małym, już nie wystarcza i nie sprawia przyjemności. Refren to dramatyczne pytanie człowieka, który widzi, że to, w co wierzył, przestaje mieć wartość: „Cnoty grosza nie rodzą, / Jeszcze w spaniu przeszkodzą.” A tego, co ma do powiedzenia, nikt nie bierze na serio, co pokazuje lekceważący tytuł **„Pana-Rejowe gadanie”**. Ale zaraz przychodzi zastanowienie, czy życie „po nowemu” jest lepsze, i jaką cenę trzeba zapłacić za bycie u władzy, za dostatnie życie, order, dowody uznania. Płaci się za to tym, co najważniejsze: przyjaciółmi („Zamiast szczerych przyjaciół — śliskie złodziejaszki”), miłością („Za prawdziwe kochanie — uległość ze strachu”), sprzedaniem się, wyzbyciem zasad („Szyja zmięknie w terminie, a dusza stwardnieje. / Skryją szlachetne serce pozłacane blaszki, / Nos się z wiatrem znać będzie, jak kurek na dachu”). Przywołana jest postać Machiavellego, symbolizującego amoralną zasadę postępowania „cel uświęca środki”. Druzgocąca jest ocena Reja dla postępowania ludzi m.in. takich, jak ci reprezentowani przez Ojca z poprzedniego utworu, ale i pobrzmiwa w jego głosie współczucie — ciężko jest żyć z brzemieniem władzy i ludzkiej zazdrości. Powtórzone pytanie „Skąd pogodę wziąć ducha?” zdaje się tak samo dręczyć bogaczy, jak i biedaków.

Trzecia strofa to powrót do stoicyzmu: nie ma co narzekać na wyroki boskie, swoje życie czy status społeczny (nie bez znaczenia jest kalwinizm Reja, łatwo mu było wytłumaczyć sobie różne wypadki losowe). Nie jest w mocy człowieka zrozumienie, a już na pewno podważanie decyzji boskich (przy okazji został wpleciony przytyk do opilstwa szlachty i ich „zastaw się, a postaw się” — „Bóg nie szlachcic pijany, co złociszem błyska”. Przytyk o tyle może nietrafiony, że sam Rej za kołnierz ponoć nie wylewał): „Sprawiedliwość niebieska od królewskiej inna: / To cierpieniem nagrodzi, to bogactwem stoczy.” Dwa światy — boski i ludzki — rządzą się innymi prawami i należy o tym pamiętać, chcąc wieść spokojne życie. Tak jak niedobre jest skupianie się wyłącznie na doczesnych przyjemnościach, tak i patrzeć w niebo może skończyć się — zmoczeniem przez deszcz, jak obrazowo zostało to wytłumaczone. Daleko Rejowi do późniejszej tezy Leibniza, że żyjemy na najlepszym ze światów („Ani ból — zasługa, ani świat — kołyska.”), ale i przeciwny

jest ustawianiu się w pozycji biblijnego Hioba. Po prostu życie ludzkie jest sumą chwil radości i cierpienia i nie ma sensu próbować uniknięcia którychkolwiek.

Szczęście— oka jest mgnienie,
Człowiek — mądre cierpienie;

Kaczmarek o tym fragmencie mówi następująco: *To jest ten przejaw optymizmu, na jaki być może nas stać.* ⁷⁶ (Rej staje się więc wyrazicielem poglądów poety, a zatem mamy tu do czynienia z liryką maski). Specyficzny to optymizm, ale tego rodzaju sentencje były dość popularne w okresie baroku. Ot, choćby wierszyk Symeona Potockiego z taką oto definicją człowieka:

Człowiek jest bombol, szkło, lód, bajka, cień, proch, siano,
Sen, punkt, głos, dźwięk, kwiat, nic by go królem zwano. ⁷⁷

Ale przecież nie jest to pisane po to, by udowodnić naszą nieważność, ale by ukrócić ludzką pychę i pokazać, gdzie jest nasze miejsce.

No a co z odpowiedzią na pytanie o pogodę ducha?

Pogodę ducha bierze się z pogody ducha, po prostu. Z pozytywnego nastawienia do świata i do ludzi. I z krytycznej refleksji. ⁷⁸

Kolejny utwór jest treściowo i tematycznie najbardziej odbiegający od reszty. Sam tytuł — „**Dzielnica żebraków**” — odwraca uwagę od szlachty i Sarmatów, a kieruje ją na zjawisko, które jest omawiane szczątkowo w literaturze fachowej. Z jednej strony może dziwić, że większość opracowań historycznych koncentruje się na 10 % społeczeństwa (bo taki odsetek stanowiła szlachta), ale z drugiej to właśnie szlachta stanowiła o państwie i tylko jej działania na funkcjonowanie tegoż miały wpływ (do momentu, powiedzmy, poderwania Kozaków przez Chmielnickiego). A dokumenty z epoki nie mówią zbyt wiele o życiu innych warstw społecznych, nawet słynny *Opis obyczajów* Kitowicza niefortunnie urywa się w momencie opisu stanu chłopskiego. A tu nawet nie o chłopach, a o żebrakach i złodziejach mowa.

⁷⁶ *Pożegnanie...*, s. 141.

⁷⁷ S. Potocki: „Człowiek jest bąbel”. W: *Helikon sarmacki. Wątki i tematy polskiej poezji barokowej*. Wrocław 1989, s. 248.

⁷⁸ *Pożegnanie...*, s. 141.

Podmiot liryczny jest obserwatorem, postronnym, ale wnikliwym; prowadzi nas do dzielnicy żebraków, której lokalizację precyzyjnie określa: „pod murem klasztoru,/ Za zamkiem, gdzie miejskiej nie ujrzysz już straży”. Miejsce zapomniane przez Boga i daleko od oczu ludzkich, ale zorganizowane, ma nawet króla, który jednak w momencie, gdy go poznajemy, popadł w tarapaty. Oto został wybrany spośród żebraków, by reprezentować ich interesy, a okazał się być złodziejem, czyli członkiem konkurencyjnej grupy zamieszkującej dzielnicę. Zanim zdołał wcielić w życie swój plan pogodzenia jednych i drugich i stworzenia wspólnoty, która mogłaby sobie wzajemnie pomagać, zostaje oskarżony o zdradę, złodzieje okradają żebraków i wywiązuje się burda. Dla biorących w niej udział ma ogromne znaczenie („Ma nędza swą godność”, „I złodziej ma honor”), stwarza im namiastkę walki o lepszy byt, ale przez tych, od których naprawę coś zależy, pozostaje niezauważona:

Na burzach dziejowych w żebraczej dzielnicy
Ni klasztor, ni zamek właściwie nie straci,
Bo koszt szlachetności wyliczą skarbnicy...
A okradziony – zapłaci.

Ten przewrotny, ironiczny tekst pokazuje, że pieniactwo i poczucie dumy nie były cechami jedynie szlacheckimi, a skłonność do kłótni i nieumiejętność porozumienia się są tak głęboko zakorzenione, że nawet najgorsze warunki nie są ich w stanie przełamać. Tacy jesteśmy, niezależnie od statusu materialnego czy społecznego.

Kolejny wiersz dotyka sprawy niezwykle ważnej w życiu społecznym – religii, a konkretnie wiary w czary, magię i zabobony. Tekst to niezwykle, składa się z przeplatających się dwu części: narratorskiej i niemal żywcem wyjętych z rozmaitych podręczników przepisów na radzenie sobie kolejno z wrogiem, przekonywaniem do swych racji, wreszcie szyderskiego, autorskiego przepisu na uniknięcie głodu – przez samobójstwo.

Zaczyna się od stwierdzenia „Wielkie jest na czary zapotrzebowanie / W czasach niespokojnych królestwa bez stosów”. Paradoksalne sformułowanie w drugim wersie dotyka składnika dumy narodowej, mianowicie tolerancji religijnej, niespotykanej w tym czasie nigdzie indziej. Rzadko zdarzają się próby

wyjaśnienia tego zjawiska w niepoprawny politycznie sposób — jeden cytowałam we wstępie (Davies), drugi jest przedstawiany przez samego Kaczmarskiego:

*Już Brzozowski mówił, że w Polsce być może dlatego nie było wojen religijnych, że nie analizujemy niczego dogłębnie ani głęboko nie wierzymy.*⁷⁹

Poza tym polityka to jedno, a wierzenia ludzi, zwłaszcza chłopów i mieszczan to drugie. Mogą wydawać się nam śmieszne, ale należy pamiętać, że niewykształconemu człowiekowi w zupełności wystarczały (choćby z uwagi na rządzące nimi proste zasady, np. rozpoznawania czarownic, skuteczne sposoby pozbywania się zła itp.). Zresztą ludzie nieprzyzwyczajeni byli do głębokiej analizy, wszak Kościół od lat zalecał zasadę „wierz i nie szperaj”, co łatwo przenosiło się na inny grunt. Przesady te gorliwie podtrzymywała większość kleru, gdyż dawało to dużą władzę nad ludźmi: łatwo było przekonać kogoś, że uderzenie pioruna w jego zabudowania to kara boska za grzechy i wymaga ofiary pieniężnej, by gniew Boga złagodzić. Należy zaznaczyć, że myślenie magiczne oddziaływało na wszystkie warstwy społeczne, z królem włącznie.

Istotnym elementem religijności była głęboka i powszechna wiara w diabła i jego pomocnice. Choć polowania na czarownice nie odbywały się na taką skalę jak w Europie Zachodniej, to przecież w XVII i XVIII wieku procesy o czary pochłonęły sporo ofiar, zwłaszcza spośród mieszkanek wsi. Pisze Davies:

*Podrażnienie o magię w obrębie niewielkich społeczności wiejskich rodziło się zazwyczaj w związku z klęskami naturalnymi, wybuchami zarazy, suszą, nieurodzajem lub po prostu z sąsiedzkimi urazami. Oskarżenia o uprawianie magii nieuchronnie przybierały rozmiary lawiny, ponieważ podczas przesłuchania nieszczęsne kobiety denuncjowały swoje sąsiadki i znajome, rozpaczliwie próbując uwolnić się od zarzutów.*⁸⁰

⁷⁹ *Pożegnanie...*, s. 123.

⁸⁰ N. Davies, op. cit., s. 266.

A tortury obejmowały m.in. próbę wody, zamykanie w beczce, wieszanie nago u sufitu, łamanie kołem... Mało kto to wytrzymał, więc kaci wyciskali z ofiary wszystko, co chcieli, po czym i tak koniec końców kara była jedna.

Mimo występowania takich wydarzeń Bogucka zaznacza, że, w porównaniu z istnym szaleństwem na Zachodzie, w Polsce prześladowania miały, jeśli można tak powiedzieć, łagodny przebieg i podaje szereg powodów ku temu:

Słaby rozwój demonologii, brak inkwizycji i krwawych rozpraw z heretykami (...); odmienność ustroju, w którym nie rozwinęła się walcząca o wpływy polityczne biurokracja (na Zachodzie procesy o czary stanowiły ważny element rozgrywek politycznych); pewna stabilność sytuacji wsi polskiej w odróżnieniu od przeżywającej wstrząsy związane z rozwojem stosunków wczesnokapitalistycznych wsi zachodnioeuropejskich; tradycyjne formy katolicyzmu polskiego, w którym silnie rozwinięty kult maryjny i licznych świętych dawał ludziom poczucie bezpieczeństwa, jakiego brakowało w krajach objętych reformacją (...); wreszcie „udomowienie” i pozbawienie grozy, a nawet ośmieszenie diabła. ⁸¹

Choć za „złą” magię groziła śmierć, posługiwanie się nią w dobrym celu (przy czym o rozróżnieniu decydował z reguły własny interes) było powszechnie akceptowane i stosowane. Tłum z utworu „**Czary skuteczne na swary odwieczne**” mamrocze formuły na „odmianę losu / I na pozbywanie się / Strapień i osób”. W *Dziejach obyczajów w dawnej Polsce* Jana S. Bystronia czytamy:

Magia polega na założeniu istotnego związku pomiędzy człowiekiem a światem zewnętrznym, na wierze w możliwość oddziaływania na przyrodę przez odpowiedni system praktyk. Praktyki te, o ile są przedsięwzięte we właściwym miejscu i czasie, za pomocą skutecznych w tym celu przedmiotów i z zachowaniem koniecznej formy, pociągają za sobą z nieuchronną koniecznością pożądane następstwa. ⁸²

⁸¹ M. Bogucka, op. cit., s. 189.

⁸² J. S. Bystron, op. cit., s. 271.

Oto formuła numer jeden, cel — pozbycie się osoby:

Ulep kukłę wroga twego,
Podobieństwa niechybnego,
Na niej szpilą jego imię
Wypisz wraz z imieniem Złego.
Zaczem nocą spał w kominie
A w męczarniach wróg twój zginie.

Bystroń podaje ten przykład niemal w identyczny sposób. W konkretnej przestrzeni magicznej wykonywało się czynności, które wywoływały określony skutek w świecie realnym. Nie tylko miejsce, ale i pora była ważna, bo rytuały wykonywano zwykle po zmierzchu.

Kolejne strofy analizują inne przykłady działań magicznych: oto mamy dostojników mówiących zaklęcia (zapewne egzorcyzmy, na co wskazują wersy: „Goreją złe oczy rzucając uroki, / A zauroczeni nie mają pojęcia, / Że już ostateczne zapadły wyroki, / Ścięty łeb kurczęcia / A ciało — w podskoki.”). Ktoś „zły” może zauroczyć, ktoś kompetentny za pomocą odpowiednich słów i czynności może urok zdjąć.

Formuła numer dwa: jak sprawić, by wszyscy wierzyli w twoje słowa:

Weź wisielca język suchy,
Krew nieczystą polatuchy
I w miedzianym trzyj móździerzu.
Dodaj wino mszalne z kruchty,
Uczyń napar, wypij świeży,
A świat w słowa twe uwierzy.

I znów nieoceniony Bystroń uświadamia, jak wielkie znaczenie miał człowiek, jego części ciała, wydzieliny i wydaliny, wszystko bowiem mogło się przydać do czarów. Najskuteczniejsze były zwłoki ludzi zmarłych śmiercią nienaturalną, zwłaszcza wisielców. Ale tu już widać naigrawający się ton podmiotu lirycznego — napar sporządzony z suchego języka, krwi prostytutki i mszalnego wina da dar wymowy. Składniki dość osobliwe jak na oczekiwany efekt.

Zupełnie zaś nie kryje się ze swą ironią w ostatnich strofach. Czary otępiają i ogłupiają („Chodzą prostaczkowie szczęściem oczadzeni”), ludzie próbujący

myśleć racjonalnie są lekceważeni lub oskarżani o współdziałanie z diabłem („Zgrzytają zębami ofiary niewiary”). W dodatku czary i magia na tyle wrosły w religijność, że nie wiadomo, co jest czarami, a co cudem.

Ostatnia strofa w prześmiewczy sposób podaje magiczną receptę na pozbycie się głodu:

Grosz ostatni żebrakowi
Zabierz, daj czarownikowi
I się brzmieniem zakłęcz odurz
Zaczem głowę workiem owiń
I z wysokich rzuć się schodów,
A nie zaznasz więcej głodu.

Tak to magia i jej rola w życiu zostaje sprowadzona do absurdu. Mogłoby się wydawać, że zostaje wyśmiana, by przywrócić należne miejsce właściwej religijności, ale dwa ostatnie wersy wcale nie przedstawiają jej w pozytywnym świetle. I ona nie zaspokaja wszystkich potrzeb człowieka:

A nie wierzysz — to się módl;
Cóż jest w końcu — ziemski głód?

Mało tego, każe mu myśleć i ufać, że to, co na ziemi, jest nieważne. A człowiek — o czym jest mowa we wcześniejszym utworze („I więcej coś w ustach chcesz mieć prócz nadziei”) — jest determinowany może bardziej nawet przez potrzeby ciała niż duszy. Gdy kiszki marsza grają, trudno jest myśleć o życiu w niebie.

W galerii postaci pojawia się teraz „**Prosty człowiek**”. Prosty, czyli zwykły, przeciętny, w odróżnieniu od bohatera następnego utworu pt. „**Warchoł**”. Ten tutaj mówiący do nas, to Sarmata szlachetny. Przedstawia nam swoje *credo*: jego prostota polega na wykonywaniu poleceń dawanych przez mądrzejszych, zarabianiu na życie rzemiosłem wojennym, byciu dumnym i otwartym na innych, ale — uwaga! — bycie otwartym nie oznacza bycia łagodnym i bezbronnym:

Ale jak ktoś mi da po pysku —
Oddam z nawiązką
— Ja nie Chrystus!

Prosty człowiek zdaje sobie sprawę ze swych ograniczeń i zajmuje się tylko tym, co umie, rozwiązywanie trudnych problemów zostawiając innym i, starając się zrozumieć tylko to, co zrozumieć może, resztą nie zaprzęta sobie głowy. Chętnie dzieli się tym, co ma (słynna polska gościnność), ale nie pozwoli sobie odebrać wszystkiego. Prosty człowiek bardziej ceni życie od śmierci, nawet tej na polu chwały („Milsze mi życie niż śmierć nędzna / Za obietnice i nadzieje”); nie dba o kary bądź zaszczyty („Kadzą mi albo palcem grożą”); nie szafuje krwią własną i szanuje cudzą, ale gdy ktoś spróbuje ją przelać, zemsta będzie natychmiastowa:

Bliźniemu też użyczę krwi
Byle starczyło jeszcze mi.
Lecz niechby ktoś mi kroplę wyssał —
Z gardła wyszarpię
— Ja nie Chrystus!

W całym utworze, jak lejtmotyw, pojawia się sformułowanie „Ja nie Chrystus!”, ale ostatnia strofa to wręcz powtórzenie ostatniej drogi tegoż, tyle że tym razem bohaterem jest każdy z nas, bo przecież:

Każdy swój krzyż przez życie targa,
A jeszcze kamień mu dołożą.

Stoicka postawa podmiotu lirycznego i tu nie ulega zachwianiu: „Dźwignę, to dobrze, nie — to nie”. Pojawia się jednak element przestrogi: „Drzyjcie, gdy krew zaleje mnie!” Kolokwialne sformułowanie oznaczające złość może być sygnałem ostrzegawczym dla tych mądrzejszych, którzy w jakiś sposób kierują jego losem, by nie przesadzili w obciążeniach, bo źle to się może skończyć.

Ten ton podchwytuje kolejny bohater, wspomniany już warchoł. To dwie postawy: pierwsza spokojna, pełna dumy i poczucia własnej wartości, druga gwałtowna i też dumna, ale z nieco innym nastawieniem wobec świata. Widać to już na początku pierwszej strofy, kiedy bohater od razu ustawia się w opozycji „ja” — jacyś „oni”. Prosty człowiek dawał się prowadzić, był pod czyimiś rozkazami, o podobnym traktowaniu tutaj nie może być mowy:

— Warcho! — krzyczą. Nie zaprzeczam,
Tylko własnym prawom ufam:
Wolna wola jest człowiecza,
Pergaminów nie posłucha.

Definicja w słowniku mówi, że warcho! to *człowiek kłótlivy, niezgodny, zakłócający spokój; wywołujący zamieszanie, zamęt*.⁸³ Sprawdźmy zatem, czy mają rację ci, którzy tak nazywają naszego bohatera. Zresztą, on sam temu nie zaprzecza. I opowiada o sobie: jest panem samego siebie, żadne prawa spisane na papierze go nie obejmują, bo ma wolną wolę i nie wnika w to, kto mu ją dał:

Boska ręka w tym, czy diabla,
Szpetnie to, czy właśnie pięknie —

Ale jeśli ktoś miałby ochotę nim pokierować, musi to zrobić umiejętnie, co obrazuje porównanie z szablą:

Wola moja jest jak szabla;
Nagniesz ją za mocno — pęknie.

A niewprawną puścisz dłonią —
W pysk odbije stali siła;
Tak się naucz robić bronią,
By naturą swą służyła.

Warcho! zdaje się mówić „państwo to ja!”, ale w sensie charakteru narodowego:

Sprawa ze mną — jak kraj ten stara
I jak zwykle on — byle jaka:
Nie zrobili ze mnie janczara —
Nie uczynią też i dworaka.
Wychwalali zasługi, cnoty
Podsycali pochlebstwem wady,
A ja służyć — nie mam ochoty,
Warchołowi — nikt nie da rady!

⁸³ *Mały słownik języka polskiego*. Red. E. Sobol. Warszawa 1999, s. 1002.

Mogłoby się wydawać, że kraj jest deprecjonowany przymiotnikami *stary* i *byle jaki*, ale wymowa refrenu jest przecież pozytywna: tak jak jego nie da się pochlebstwem zmusić do bycia kimś innym, niż jest, tak i Polska jest i pozostanie wolna. Troszkę na wyrost było to twierdzenie, ale coś jest na rzeczy, skoro po latach zaborów nie zaniknął ani język, ani tradycje, a zrywy niepodległościowe pokazywały niezwykle determinację Polaków i brak zgody na bycie częścią innego kraju.

Jak jeszcze dokonywana jest autoprezentacja warchoła? Nie stroni od uciech cielesnych i duchowych, choć te drugie zaspokaja rządziej:

Lubię tany, pełne dzbany,
Sute stoły i tapczany,
Płec nadobną — niesurową
I od święta —Boże Słowo.

I tutaj jednak zachowuje kontrolę nad wszystkim:

Lecz ni ksiądz, ni okowita
Piekłem straszy, niebem nęci,
Ani żadna mnie kobita
Wokół palca nie okręci.

Sam ponosi konsekwencje używania każdej z tych rzeczy i nie ma do nikogo pretensji, ani niczego od nikogo nie oczekuje:

Mój ból głowy, moja skrucha,
Moje kiszki, moja franca,
Moja wreszcie groza ducha,
Gdy Kostucha rwie do tańca!

Tu kobieta jest dość niemilej aparycji, a taniec to nic innego jak wersja *danse macabre*. Niemniej jednak nawet za cenę późniejszej grozy ducha lepiej wziąć odpowiedzialność za siebie od początku do końca niż być marionetką w rękach innych i zrzucić na nich ciężar swych win. Prosty człowiek ufał mądrości wyżej od siebie postawionych, warchoła zaś wie, że tak naprawdę ludzie ci niczym się od niego nie różnią — stanowisko nie zmieni narodowego charakteru (była już o tym mowa w „Dzielnicy żebraków”). Określa ich pogardliwie:

Ale znam tych stróżów mienia,
Sędziów sumień, prawdy zakon,
Spekulantów odkupienia —
Bo znam siebie — jako tako.

Zdaje sobie sprawę, że użyliby go do swoich celów, analogicznie do użycia woskowej laleczki z „Czarów skutecznych...”, a po osiągnięciu korzyści pozbyliby się:

Ulepiony i pokłuty
Niepotrzebny będę więcej;
Rzucą w ogień dla pokuty
I umyją po mnie ręce.

W końcowych wersach odpowiada na ewentualne zarzuty pod swoim adresem: niespecjalnie mu zależy na byciu postrzeganym jako dobry, bo sam się za takiego nie uważa:

Zły? — być może. Dobry? — a czemu?
Nie tak wiele znów pychy we mnie.

Ma zdrowy stosunek do samego siebie, akceptuje każdą stronę swej osobowości, bo jest tylko człowiekiem i to grzesznym. Jedyne, czego wymaga od świata, to by pozwolono mu żyć po swojemu.

Tacy bohaterowie jak warchoł są często eksponowani przez Kaczmarek. Uzasadnił to m.in. tak:

Bogactwo życia, z jego grzesznością i wieloznacznością moralną, jest tym, co człowiekowi pozwala konstruować siebie. Często całe życie tkwimy przy poglądach, które uważamy za słuszne. Aż w pewnym momencie musimy się z tych poglądów wycofać. I na to nie ma rady. Tymczasem ludzie niechętnie przyznają się do błędów (...) W jaki sposób słabość zmienić w siłę? To jest też wątek, który często pojawiał się w moich programach (...): akceptacja siebie jako istoty wieloznacznej, zdolnej czynić dobro, ale przede wszystkim skłonnej czynić zło. Bo zło czynić łatwiej, a przede wszystkim przyjemniej...⁸⁴

⁸⁴ Pożegnanie..., s. 131.

A w piosence „Rozmowa” z 1991 roku pisał po prostu: „Jestem egzemplarz człowieka, / A to znaczy — diabli, czyścowsy i boski.” Podobnie jest u Gombrowicza, ale o tym później.

Było już o zachowaniu i cechach charakteru szlachcica, nie mniej ważny był wygląd zewnętrzny — podgolone głowy, wąsy — ale naprawdę liczył się strój, którym podkreślano status socjalny. Strój męski składał się ze spodni, lnianej koszuli, żupana, kontusza i butów; dobór materiałów zależał naturalnie od zamożności szlachcica, podobnie klejnoty służące do ozdoby, przy czym za klejnoty uważano także broń (bo jeśli np. pochwa szabli była wysadzana kamieniami, mogła kosztować i do kilkunastu tysięcy złotych). Nieodzownym elementem stroju był pas, którym przewiązywano żupan, i to pasowi właśnie poświęcony jest kolejny utwór zatytułowany po prostu „**Z pasa słuckiego pożytek**”.

Ta, wydawałoby się drobna, część garderoby przedstawiona jest na zasadzie *pars pro toto* i gra kluczową rolę w dalszym charakteryzowaniu szlachciców:

Człowiek się staje bardziej ludzki
Gdy się przepasze pasem słuckim.
Ów słuszną słynie w świecie sławą,
Że lewą stronę ma — i prawą.
Te same wzory i ozdoby
Dwoisty dobór barw rozdziela:
Tą stroną na wierzch — znak żałoby,
Odwrotną zasię — znak wesela.

Pas, podobnie jak cały ubiór polski, ma wschodnią genealogię, ale w miarę rozpowszechniania się w Polsce także na miejscu powstawały manufaktury produkujące je, tak jak ta w Słucku, bodaj najsłynniejsza, co odzwierciedla nazwa pasa. Produkcję uruchomiono tam w 1743 roku i stworzono wzór pasa polskiego. Jak podaje Maria Taszycka:

Były to pasy, których półka dzieliły się na dwie połowy na całej długości i po obu stronach. Tło najkosztowniejszych, najbogatszych pasów tkane było w całości, z wyjątkiem co drugiego półka, nicią złotą albo też w połowie złotą, w połowie srebrną (...) We wszystkich

*gatunkach pasów tło odwrocia było brązowe, często w ciemnym, bliskim czerni odcieniu. Składane przed wiązaniem dwa, trzy, a nawet cztery razy w długości, pasy słuckie mogły harmonizować z różnymi ubiorami i służyć właścicielom na różne okazje. Utarło się w związku z tym dość powszechne przekonanie, że ciemny kolor odwrocia symbolizował smutek i ukazywany był w sytuacjach żałobnych.*⁸⁵

Ale nie tylko nastrój był pokazywany w ten sposób:

Kwiecista jest wymowa stroju,
Milczącym mówcą — szlachcic strojny;
Lśni złotem brzuch na czas pokoju,
A karmazynem — na czas wojny.
Pas przypisuje jak proporzec,
Czyni hetmanem lub hołyszem:
Zechcesz — poszarzy cię w pokorze,
Wzrośniesz — roziskrzy w słusznej pysze.

Metafora z początku tej strofy łączy kilka znaczeń na kilku płaszczyznach: *kwiecista wymowa* to zdolność do przemawiania barwnego, pełnego przykładów, obrazowego; *wymowa stroju* to z kolei jakiś przekaz niewerbalny, który ma wyrazić nasz nastrój, postawę (np. żałobna czerń lub popularne w czasie powstawania niniejszej pracy krawaty w barwach narodowych); można w końcu czytać ten wers dosłownie, bo zdobienia pasów najczęściej stanowiły motywy roślinne, kwietne. Z nałożenia się tych wszystkich znaczeń powstaje nowa jakość. Bogactwo znaczeń pasa podkreśla także Taszycka:

*Znaczenie pasa wykraczało daleko poza jego dekoracyjną rolę w ubiorze. Był on mianowicie symbolem statusu społecznego, świadczył o godności noszącego go mężczyzny, a nadto o jego zamożności.*⁸⁶

⁸⁵ M. Taszycka: *Polskie pasy kontuszowe*. Kraków 1985, s. 60.

⁸⁶ Ibidem, s. 52.

Wątek ten rozwijany jest w kolejnych strofach. Poza wspomnianym wyżej pokazywaniem stosunków w hierarchii, może on jeszcze oznaczać przynależność do określonego Kościoła:

Gdy – wobec wiary – gnębi żal win,
Pas słucki chwacko zeń wyzwoli:
Tak się owiniesz – jużes kalwin,
Na opak włożysz – toś katolik!

Tu już nie ma zgody z prawdą historyczną, ale te teksty to nie kronika tamtych czasów, a jedynie inspirowane faktami rozważania na temat natury narodu, więc nie należy robić z tego zarzutu. Ale rozwinięcie tego wątku z symboliką pasa nie jest sztuczne, raczej głęboko ironiczne, bo skoro pas określał człowieka w tak wielu aspektach, to dlaczegożby pominąć ten?

Gdy słuckim pasem się przepaszysz —
W siłę słabości zmieniasz lasze.
Pas wszelkich możliwości miarką:
Póki na brzuchu — łeb na karku.

Tak oto element ubioru staje się czymś, co w doskonały sposób egzemplifikuje nasze wady narodowe: popadanie ze skrajności w skrajność, powierzchowność, niechęć do głębszej analizy, działanie pod wpływem emocji. Najtragiczniejsze jest to, że często nie uznawano tych cech za wady, a wręcz się nimi chlubiono. Do czego taka postawa doprowadziła, opowiadają kolejne utwory, o samych znaczących tytułach — „**Rokosz**”, „**Elekcja**”, „**Pobojowisko**”.

Pierwszy z nich opisuje jeden ze sposobów sprawowania władzy przez szlachtę i osiągnięcia swoich celów. Konfederacja stanowiła wyraz podstawowego prawa obywatela do odmowy posłuszeństwa, zgromadzeni mężczyźni składali przysięgę, że będą walczyć, dopóki nie osiągną założonego celu. Szczególną formą konfederacji był rokosz.

Początkowo nazwę tę nadawano konnemu zgromadzeniu całej szlachty na królewskich elekcjach; wywodzi się ona od pola Rakos pod Budą,

gdzie zwykła się spotykać węgierska szlachta, aby w podobny sposób zatwierdzać swe przywileje. Ale gdy kolejni monarchowie zaczęli się sprzeciwiać tej praktyce – jeśli jej celem nie była elekcja króla – nazwę zaczęto kojarzyć z ruchem oporu przeciwko królowi. Za panowania Zygmunta III w oczach zwolenników króla rokosz był równoznaczny ze zdradą; w oczach jego przeciwników zaś – stanowił kwintesencję „złotej wolności”.⁸⁷

Zresztą wypowiedzenie posłuszeństwa królowi mieściło się w ramach zakreślonych przez *pacta conventa*: jeśli szlachta uznała, że król narusza układy, miała prawo się zbuntować (naturalnie, stwarzało to pole do popisu dla manipulatorów i możliwości nadużyć). A wymagania stawiane królowi były wysokie, wszak miał zaszczyt reprezentować „ludzi wolnych” i musiał udowodnić, że się do tego nadaje. Przede wszystkim powinien on chronić i przestrzegać swobód i wolności szlacheckich (stąd niechęć do obioru cudzoziemców, postrzeganych jako potencjalni zwolennicy absolutyzmu). Poza tym powinna go cechować łagodność, sprawiedliwość, szczodrość, męstwo i stałość, zdolności wojskowe. Pisze Tazbir:

Ideą sarmackiego monarchy był skrepowany przez sejm władca, ktoś dobry, sprawiedliwy i – mało ambitny, bo nie wtrącający się do spraw szlachty oraz daleki od myśli o wzmocnieniu swojej władzy (...) Malowany król, primus inter pares republiki szlacheckiej, nie kolidował ze stawianymi monarsze wymaganiami cnót rycerskich. Na zewnątrz miał to być bowiem miecz Rzeczypospolitej, broniący jej niezawisłości, wewnątrz kraju zaś pierwszy strażnik swobód szlacheckich.⁸⁸

Należy zaznaczyć, że nawet w okresach rokoszów do władców odnoszono się z szacunkiem (przynajmniej formalnie i publicznie), właśnie z tego względu, że rządili wolnymi ludźmi, którzy sami wynieśli ich na tron.

W naszym utworze nie ma jednak mowy o królu. Zresztą, idźmy po kolei.

⁸⁷ N. Davies, op. cit., s. 450.

⁸⁸ J. Tazbir: *Rzeczpospolita...*, s. 16.

— Dosyć mamy tego, co było,
— Panowie szlachta! W górę czuby!
— Nie da dobrocią się — to siłą
Strzec przed hetmanem praw swych zguby!
— Furda podpisy i układy!
— Kłamię inkaust, krew jest szczera!
— Układ, by powód był do zdrady,
Podpis jest, by się go wypierać!

Znakomicie oddana jest atmosfera takiego rokoszu. Tu niewątpliwie przemawia jeden z inicjatorów, kreując się na wyraziciela uczuć większości i podżegając do buntu przeciwko hetmanowi (a ten z reguły był zwolennikiem króla, więc atakując go, opowiadano się automatycznie przeciwko władcy). Szlachta buntuje się przeciwko dotychczasowym praktykom, próbie zabrania praw kardynalnych i jakimś układom. Daje dowód swemu zaciętrzewieniu i lekceważeniu dla innych praw niż własne, a także reprezentuje tę część Sarmatów, która przy byle okazji sięgała po szablę, uważając to za najszybszą i najskuteczniejszą metodę rozwiązywania problemów. Na razie jednak jeszcze nie wznoszą jej w górę, poprzestają na groźbie użycia siły, jeśli nie spełni się ich żądań. I, by tę groźbę unaocznić, ruszają gromadą pod zamek hetmana:

— Dalej na Zamek!
— Dalej! Dalej!
— Precz z hetmanem!
— Precz!
W potrzebie wzywa nas ku chwale
Pospolita Rzecz!

Znamienne jest, że rokoszanie powołują się na wyższe racje w celu uprawomocnienia swych działań. Gdyby czynili to z wyrachowania, moglibyśmy uznać, że to normalne, choć naganne moralnie, działanie polityczne, ale tu sytuacja wygląda inaczej, kto wie, czy nie bardziej przerażająco. Bo oni naprawdę wierzyli, że bronią interesów państwa, wolności, ustroju, nie zdając sobie zarazem sprawy z tego, że przez takie działania doprowadzają do rozkładu państwa. Tymczasem idą

obalić hetmana, by zbawić ojczyznę, a w dodatku ich działania mają poparcie boskie (to charakterystyczne, że zarówno król, jak i buntujący się przeciwko niemu uważali Boga za sojusznika swych planów ⁸⁹):

Niech z czeluści piekiel bestie
Wyciągają ku nam szpony;
Hufce bronią nas niebieskie,
Świetliste bastiony.
Niech diabelskim wynalazkom
Bije ciemny świat pokłony,
Nas czekają z bożą łaską
Niedoczesne trony.

Wiara była niezwykle ważnym składnikiem życia Sarmatów, determinowała wszelkie działania. Wiara, dodajmy, katolicka. To już nie te czasy, gdy można było przynależć do dowolnego Kościoła. Tylko katolik był godzien miana prawdziwego Polaka, a w związku z otoczeniem kraju przez państwa protestanckie i prawosławne, z groźbą podbicia przez islam, rozkwitł jeden z najbardziej nośnych mitów tamtego czasu — mit przedmurza, o którym jeszcze będzie mowa. A tymczasem nasi rokoszanie ustawiają się w roli niemalże ramienia boskiego w walce z diabelskimi wymysłami hetmana i jego popleczników, którzy są — na zasadzie kontrastu ze światłością z nieba — przedstawieni jako ciemna masa oddająca cześć diabłu, który zapewne czyni zakusy na zniszczenie ustroju Rzeczypospolitej, który tu na ziemi odbija stosunki panujące w niebie.

Druga strofa to bunt przeciwko obecnym działaniom kanclerza, który prawdopodobnie próbuje oddać ich pod sąd:

— Dosyć mamy tego, co jest!
— Panowie szlachta! Do pałaszy!
— Starczy po gardle ostrza gest
A kundel kanclerz się wystraszy!
— Furda odezwy, sądy, pozwy,
— Łzą płaczki, żeśmy rokoszanie!

⁸⁹ J. Tazbir: *Sarmatyzacja katolicyzmu w Polsce w XVII wieku*. W: *Wiek...*, s. 22.

— Ich matactw my ofiarne kozły
Padnie kraj, jeśli nas nie stanie!

Stawiają tu siebie jako jedynych sprawiedliwych, w dodatku oszukanych przez przedstawicieli władzy. Wniosek jest prosty: skoro oszukano ich, to tak, jakby oszukano kraj, a więc oszust zasługuje na karę. Jednak jeszcze się wstrzymują z jej wykonaniem, terroryzując kanclerza gestem podcinania gardła, co przy gotowości bojowej tłumu stojącego pod wieżą musiało robić wrażenie.

Wreszcie bunt osiąga swe apogeum, bo jest skierowany ku przyszłości:

— Dosyć mamy tego, co będzie!
— Panowie szlachta! Po buławy!
— Niech jeden z nas na tronie siędzie
I weźmie w ręce nasze sprawy!
— Uniesiem razem władzy ciężar
W zamian ojczyzny skarbiąc miłość!
Wiedział nasz pradziad jak zwyciężać,
Niech zatem będzie tak, jak było!

We wstępie pisałam o poczuciu równości szlachty. Przejawiało się to m.in. w tym, że każdy z tej warstwy mógł, przynajmniej teoretycznie, zostać królem i do tego właśnie odwołują się rokoszanie, chcąc wybrać jednego spośród siebie, bo tylko w ten sposób da się osiągnąć założony cel. Często podnoszono wątek swojskości przy elekcji; król Polak był gwarantem utrzymania ciągłości ustroju, bo od małego nasiąkał demokracją, podczas gdy władca zagraniczny miał inną wizję rządzenia, wyniesioną ze swojego kraju rodzinnego. Obawa o wprowadzenie władzy absolutnej była silna, toteż często był to jeden z powodów wzniesienia rokoszu.

Dwa ostatnie wersy dotyczą kolejnego zakorzenionego w świadomości szlacheckiej przekonania, że prawa nie wymagają zmian czy dostosowania do aktualnej sytuacji politycznej, bo są dobre, ba, najlepsze. Jeśli zaś widać oznaki chaosu lub anarchii, to powodem są ludzie psujący je bądź ich nieprzestrzegający. W czasach dawnych, w czasach świetności, prawa te dowiodły swej skuteczności. Ta apologia przenosi się na ostatnia strofę:

Niech nam obce chwałą wzory
Niemce, Szwedy, Angielczyki —
Nie nauczą nas pokory
Czarcie ich praktyki!
Niechaj słucha się litery
Kto się nie ma za człowieka,
Nas za wiarę w zapal szczerzy
Wiekuiście czeka!

Po raz kolejny wyrażone jest przekonanie o doskonałości ustroju, a za poparcie tej tezy służy tu fakt, że Polaków nie ogranicza litera prawa narzuconego arbitralnie, ale sami je stanowią i zmieniają.

Przeświadczenie o wyjątkowości w ówczesnej Europie polskiego rozwiązania ustrojowego rozwinęło się w kompleks wyższości, który znalazł ujście w megalomanii narodowej oraz przekonaniu, że istnieją siły dybiące nieustannie na skarb szlachecki ucieleśniony w „złotej wolności”.⁹⁰

Cała reszta Europy może sobie mówić, co chce, my i tak będziemy trwali przy swoim:

Istotną cechą sarmatyzmu było przekonanie o zasadniczej inności Polski od reszty Europy i aprobowanie tego rzekomego faktu (...) Wyrażało się to również w przekonaniu, że stosunki panujące w innych krajach europejskich są może nawet dla nich dobre, dla Polski się jednak nie nadają, gdyż te, które w niej panują, są dla niej jedynie właściwe, przede wszystkim ze względu na polski charakter narodowy.⁹¹

A że zapal do obrony tychże praw jest szczerzy, to i nagroda duża.

Kolejny tekst zajmuje się jednym z filarów ustroju demokratycznego, tj. sejmem, czyli reprezentacją szlachty polskiej składającą się z posłów wybieranych przez sejmiki ziemskie. Te zaś wyglądały szczególnie:

⁹⁰ J. Tazbir: *Kultura...*, s. 139.

⁹¹ J. Michalski, op. cit., s. 114.

Ta Polska sejmikowa miała może najwięcej cech sarmackich. Zjeżdżający obywatele przeżywali swoje pięć minut, starając się przy okazji załatwić własne interesy, porachunki, animozje (...) Magnaci biorący udział w tych zjazdach byli zwykle skonfliktowani (...) Większość obrad zaczynała się od „tumultu”, znaczna część nie „dochodziła”. Sejmikom towarzyszyło pijaństwo, które fundowali swoim stronnikom okoliczni magnaci (...) Walczyli oni o liczbę zwolenników w sejmie. Zabiegali o szlachtę średnią, a za jej pośrednictwem drobną, czyli tak zwaną klientelę. Klientela głosowała zgodnie z interesami swego opiekuna, zrywała sejmy, urzędzała — jeśli było trzeba — burdy. ⁹²

Elekcja przedstawiona w utworze o takim tytule może budzić przerażenie. Sejm decydujący o tak istotnej sprawie jak wybór króla wygląda jak pole bitwy, i to raczej nie na racjonalne argumenty. Zresztą, bądźmy uczciwi, od XVII wieku większość sejmów (nie tylko elekcyjnych, ale także walnych i konwokacyjnych, o sejmikach była mowa przed chwilą) wyglądała podobnie. Ale wróćmy do sejmiku elekcyjnego. Pokróćce jego przebieg wyglądał następująco: szlachta zjeżdżała tłumnie (głos miał każdy, co oznaczało, że król nie jest z łaski bożej, ale szlacheckiej) na pole na Woli pod Warszawą i rozbijała obozy według województw. Na początku dnia zwolennicy każdego z głównych kandydatów organizowali „kampanię reklamową”, co masy wykorzystywały do najedzenia się i napicia na koszt kandydata, a że nastroje były gwałtowne, często dochodziło do bójek. W takich warunkach wybór musiał być przypadkowy, o ile nie został wymuszony. A technika głosowania była prosta: dostojnik świecki lub duchowny zbierał szlachtę ze swojego województwa i pytał, czy zgadzają się na danego kandydata, przy czym często byli oni nakłaniani przez marszałka do zaprzestania popierania kogoś nierokującego szans na zwycięstwo.

Oto, jak mogła wyglądać taka elekcja:

⁹² K. Bockenheimer, op. cit., s. 167-171.

Ramiona do nieba wzniesione wzburzeniem
Łacina spieniona na wargach,
Żył sznury na skroniach, przekrwione spojrzenie
Przekleństwo, modlitwa lub skarga.
Pod nos podtykane i palce i pięści,
Na racje oracji trwa bitwa,
Szablistą polszczyzną tnie, świszczce i chrzęści
Przekleństwo, skarga, modlitwa.

„Czas ratować państwo chore,
Szlag mnie trafia — *ergo sum!*
Po sąsiadach partię zbiorę,
Uczynimy szum!”

Jedna wielka awantura przepitych, niewykształconych (ich łacina może być albo w wersji wyuczonych formuł, albo wręcz „kuchenna”) szlachciurów, którzy próbują na różne sposoby (prośba, groźba, zaklinanie, bełkotliwe wywody, a wszystko w stylistyce walki — to ta polszczyzna jak szabla) przekonać do swych racji, a gdy one zawodzą, decydują się na rozwiązanie drastyczne, bo regularną bitwę z konkurentami. Trawestacja słynnego stwierdzenia Kartezjusza obnaża mizериę umysłową, bo tym, co stanowi o istnieniu jest nie myślenie, a uleganie negatywnym emocjom.

Ten Prusom gardłuje, ten Wiednia partyzant,
Ów ruskiej się chwyta sukienki,
A troską każdego szczęśliwa ojczyzna —
Stąd modły, przekleństwa i jęki.
Polityką zwie się ów spór Panów Braci
W rozmowach elekta z elektem;
Schlebiają szarakom złości magnaci
Wśród jęków, modlitw i przekleństw.

Tu z kolei ironicznie przedstawiona jest troska o rzekome dobro ojczyzny, podczas gdy wiadomo, że większość o tym nie myślała, skupiając się głównie na osiągnięciu własnych korzyści wynikających z poparcia tego czy innego kandydata (a mogły to być np. urzędy, włości, pieniądze wreszcie — łapówkarstwo, o którym wspominał

już Ojciec z „Dobrych rad...” i które było powszechną metodą zyskiwania popleczników). Ocena takiego sposobu uprawiania polityki jest jednoznacznie negatywna: podmiot liryczny tego utworu to uczestnik elekcji z przerażeniem obserwujący jej przebieg i jednego z tych „gardlujących”, którego słowa są cytowane. Zapewne to klient jakiegoś magnata, którzy w schyłkowym okresie funkcjonowania państwa polskiego mieli duży wpływ na decyzje sejmu, właśnie dzięki takim praktykom. Zwróćmy uwagę na dość często stosowane dla takiego stanu rzeczy sformułowanie „rządy oligarchii magnackiej”. Jako pierwszy polemikę z tą tezą podjął Władysław Czapliński, wskazując po pierwsze na to, że taka forma rządów była charakterystyczna nie tylko dla Polski (a dotąd określano ją jako specyficzną właśnie dla naszego kraju), a po drugie wskazując, że praktycznie w czystej formie występowały one jedynie w czasach saskich, gdy sejmy nie dochodziły do skutku, a senat (czyli reprezentacja mniejszości szlachty, a zatem magnaterii właśnie) podejmował wszystkie decyzje — choć i wtedy król mógł przeforsować własne zdanie. Koniec końców Czapliński dochodzi do wniosku, że tak naprawdę pełnią władzy magnaci dysponowali jedynie na szczeblu lokalnym.⁹³ Z takim postawieniem sprawy zgadza się Mączak, który dodaje:

*Ważne jest, że magnaci nigdy nie funkcjonowali jako organ polityczny, choćby nieformalny. Możemy co najwyżej zastosować tu znany politologii termin „oligarchia rywali”, określający sytuację, w której ludzie u władzy skupiają uwagę na rywalizacji między sobą.*⁹⁴

Oprócz klienteli magnatów zjazdy na sejm elekcyjny wykorzystywała też tzw. gołota i okoliczna biedota, korzystając ze sposobności do łatwego wzbogacenia się w myśl przysłowia, że „okazja czyni złodzieja”.

Kolejna strofa zajmuje się metodami tych bardziej „światłych” przedstawicieli szlachty:

⁹³ Por. W. Czapliński: *O Polsce siedemnastowiecznej. Problemy i sprawy*. Warszawa 1966, s. 132-162.

⁹⁴ A. Mączak: *W czasach „potopu”*. Wrocław 1999, s. 99.

Co czub i wąsiska — to wróż i historyk,
Niezbite też ma argumenta;
Lecz Wiednie Sobieskich i Pskowy Batorych
Dziś każdy inaczej pamięta!
Więc grunt to obyczaj, obyczaj — rzecz święta,
By Rzeczpospolita zakwitła
Niech rządzi, kto bądź — byle wolnych nie pętał (...)

„Jest nas patryjotów siła,
Żaden nam nie straszny wróg,
A ojczyzna sercu miła
I łaskawy Bóg.”

Ci podpierają się faktami historycznymi, przywołując wydarzenia-symbolowe w dziejach Polski: zwycięstwo pod Wiedniem, które wywindowało kraj na wysoką pozycję w Europie i pognębiło „niewiernych” Turków, a także epizod z wojny o Inflanty, które w końcu zostały podzielone między Polskę i Szwecję, w wyniku czego Rosja została pozbawiona dostępu do Morza Bałtyckiego. Podmiot liryczny zwraca jednak uwagę na to, że po latach fakty zacierają się w pamięci lub zyskują inną interpretację, a każdy powołujący się na nie odczytuje je w sposób pasujący do aktualnej sytuacji. I tak okazuje się, że nawet tym oświeconym zależy na jednym, a mianowicie na tym, by królem był obojętnie kto, byleby przestrzegał świętej „złotej wolności”, bo to fundament polskości. Inny program polityczny nie miał znaczenia, może nawet nie istniał. Tylko wolność i Bóg.

Stosunek do Boga także był specyficzny. Bóg był porównywany do monarchy lub dobrotliwego ojca. Z faktu, że święta kościelne często przypadały w rocznicę zwycięstw wojsk polskich, wynoszono, że nasz kraj cieszy się szczególną łaską i że czuwa nad nami opatrzność. Polacy-Sarmaci byli narodem wybranym, jak niegdyś Izraelici. Nie mogło być inaczej, wszak szlachta od wieków przy czytaniu Ewangelii obnażała ostrze szabli na znak, że wiernie stoi przy Słowie Bożym. W zamian zaś liczyła na cudowne wybawienie z opresji. Jak silne było to przekonanie, wskazuje fakt, że nawet pyrrusowe zwycięstwa w wojnach kozackich i szwedzkich uznano za dowód szczególnej boskiej opieki (niedaleko stąd do mesjanizmu). Wierzono powszechnie, że losy kraju zależą od spełniania obowiązków obrońców wiary,

a nie od potęgi państw ościennych. Nikt też nie wątpił, że Polska ze względu na swe położenie ma do odegrania w Europie decydującą rolę, a także, że jej istnienie jest po prostu niezbędne. Składały się na to przekonanie mity o spichlerzu (szlachta eksportowała duże ilości zboża), doskonałości ustroju i, oczywiście, przedmurzu.

Tazbir podaje, że w *Piśmie Świętym* termin ten posiadał prymarne znaczenie muru obronnego, ale także oznaczał państwo-twierdzę. Pierwszy raz został on użyty pośrednio w stosunku do Polski za czasów Władysława Warneńczyka, którego określano jako rycerza walczącego w obronie *antemurale* na Węgrzech.⁹⁵ Zaś o Polsce jako przedmurzu zaczęto mówić pełnym głosem w XVII wieku, kiedy to stała się ona twierdzą atakowaną z trzech stron:

*W połowie XVII wieku nastąpiła wyraźna zmiana jakościowa, jeśli chodzi o stan bezpieczeństwa państwa oraz jego szlacheckich obywateli (...) Zakwestionowano sam byt państwa snując pierwsze projekty traktatów rozbiorowych.*⁹⁶

Z tym, że oprócz opieki boskiej liczono na pomoc innych krajów chrześcijańskich (jak wiemy z historii, naiwne było to myślenie), więc niebezpieczeństwo zlekceważono. Teza o przedmurzu ma, jak zauważa badacz, dwojakie oblicze:

*(...) obronne, wymierzone przeciwko Turcji, i agresywne, uznające za swój obowiązek szerzenie katolicyzmu wśród własnej ludności oraz sąsiadów. Teza ta posiada dwa wydania: katolickie, czyniące Polskę obrończynią interesów państwa, i ogólnochrześcijańskie, przeciwstawiające ją jedynie muzułmańskiej Turcji.*⁹⁷

Tymczasem na sejmie szlachta dalej walczy:

Rozniesiemy na szabelkach
Zdrajców, co nam wodzą rej,
Rzeczpospolita jest wielka
Starczy dla nas jej!

⁹⁵ J. Tazbir: *Polskie przedmurze chrześcijańskiej Europy. Mity a rzeczywistość historyczna*. Warszawa 1987, s. 5-11.

⁹⁶ J. Tazbir: *Sarmaci i świat. Prace wybrane*. T. 3. Kraków 2001, s. 390.

⁹⁷ J. Tazbir: *Sarmatyzacja...*, s. 14.

Źródła podają, że mas nie należało lekceważyć, gdyż bywały nieobliczalne i ich niezadowolenie mogło być groźne w skutkach. Zwłaszcza, że nie zawsze kończyło się jedynie na słowach, przechodzono i do czynów. I widok był potem taki:

Ramiona do nieba wzniesione przed zgonem,
Krew czarna zaschnięta na wargach,
A w oczach otwartych milczenie zdumione
I skarga...

Wstrząsający, zwłaszcza że trup zastygł w tej samej pozie, w której rozpoczynał elekcję; mógł to być ktokolwiek ze zgromadzonych. Może ta świadomość podziałała na innych, gdyż w ostatnim zawołaniu nie są tak pewni siebie jak wcześniej i pytają wręcz z lękiem: „Rzeczpospolita jest wielka / Czy starczy dla nas jej?”

Skoro już była mowa o Polakach-katolikach, to warto przyrzeć się temu zagadnieniu z perspektywy kogoś świeżo nawróconego. O tym traktuje „**Kniazia Jaremy nawrócenie**”. Bohaterem jest książę Jeremi Wiśniowiecki, słynny m.in. z trzymania poddanych żelazną ręką i z krwawego tłumienia wszelkich buntów, czy to chłopskich, czy kozackich. Tu jest mowa o autentycznym epizodzie z jego życia, a mianowicie zmianie wiary z grekokatolickiej na katolicką, co uczynił w wieku 20 lat, w 1632 roku. Epizod autentyczny, ale jego przedstawienie nie do końca:

(...) W Sarmatii w sposób bezczelny nadużyłem historię nawrócenia się na katolicyzm Jeremiego Wiśniowieckiego. A zrobiłem to w celu wythumaczenia współczesnych kontekstów i zależności religii od polityki. ⁹⁸

Słowa prawdziwe w 1994 roku, jeszcze bardziej prawdziwe teraz, gdy polityka i religia zawarły sojusz i wspierają się nawzajem. Tekst pisany jest z perspektywy obserwatora, reportera niemalże, który przepytuje i kniazia, i jego poddanych (chłopów i panów) na okoliczność zmiany wiary, przy czym jego sympatia jest po stronie tych drugich. Dominującym uczuciem jest u nich strach przed tym, co się będzie działo („Złe przecucie piersi dusi”), zarówno z krajem, jak i z nimi samymi.

⁹⁸ *Pożegnanie...*, s. 122.

Próbują przemówić do rozsądku księciu, starając się wykazać, że niewiele na swym nawróceniu zyska, gdyż nikt z nich nie ma wątpliwości, że to bynajmniej nie gorliwa wiara go do tego pchnęła:

Jęczą głośno Ruskie pany:
— Zajrzyj w duszę swą, Władko!
Wszak oddajesz wszystko za nic
I nas gubisz polityką!

Na nic się te zaklinania nie zdadzą, książ ma bowiem bardzo klarowną wizję przyszłości :

— Kto mnie kocha, pójdzie ze mną,
Lub na palik go naniżę!

Motywacja wystarczająco dobra — każdy znający księcia mógł być pewien, że dotrzyma on słowa. Tę groźbę potęguje powtarzany refren: „Lat dwadzieścia duch w nim drzemał / Aż go rzymski Krzyż oświecił. / Książ Jarema, Książ Jarema / Straszny będzie dla swych dzieci”. Konwertyta powinien być szczególnie obeznany z nakazami religii, którą ma wyznawać; jednak choć najważniejsze dla katolika (a przecież i chrześcijanina obrządku wschodniego) przykazanie mówi o miłości bliźniego, w charakterze władcy nic nie ulega zmianie.

Inni poddani ostrzegają:

— Nie dostaniesz się w pokorze
Na królewskie przedpokoje,
Stanie w ogniu Zaporozie,
Pójdzie w dym dziedzictwo twoje!

Starają się apelować do jego prywatnych uczuć, pokazując, że sojusz z królem Władysławem IV i udzielenie mu wsparcia w wojnie z Rosją może doprowadzić do rozszerzenia się działań na tereny będące ich własnością. Ale Jarema chętnie przystaje na pewne koszty, na razie motywując to jedynie patriotyzmem i troską o życie niebieskie:

— Przed dziedzictwem chcę ojczyzny,
Przed ojczyzną chcę zbawienia,

Niech za Chrystusowe blizny
Idą w ogień pokolenia!

Ale jego dotychczasowi popiecznicy wiedzą i tak swoje:

— Krew dla ciebie, nie zaszczyty!
Wzgarda dla ruskiego księcia!
My dla Rzeczypospolitej
Jak paznokcie do przycięcia!

Dotykają tu dosyć bolesnej i niewygodnej kwestii, a mianowicie wzajemnego stosunku do siebie obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Szlachta ruska szybko się polonizowała, ale mieszkańcy wsi i miasteczek zachowywali wiarę, język i kulturę przodków. Polacy uważali się za lepszych i światlejszych od Litwinów, ci z kolei za twórców potęgi państwa polskiego (Jagiello) i oburzało ich, że wszystkie ważne decyzje zapadają w Warszawie (ze względu na koszty podróży i pobytu w stolicy podczas obrad sejmu mogli sobie na to pozwolić jedynie najbogatsi magnaci). Szlachta polska zaś sądziła (nie bez racji), że wraz z przyłączeniem Litwy Polska zafundowała sobie bombę z opóźnionym zapłonem, czyli kwestię kozacką.

Książę Wiśniowiecki jednak wie dobrze, do czego zmierza, jest dumny i ma wysokie aspiracje:

— Zechce przyciąć, to się sparzy,
Bo ja krzyżem się zasłonię;
Doczekają koroniarze
Wiśniowieckich na swym tronie!

Ziściły się one, ale Jarema tego nie doczekał. Może i dobrze, bo jego syn został królem przez przypadek i ze względu na zasługi wojskowe ojca, pozbawiony zaś był kompletnie charyzmy, woli i talentów politycznych. Ale ostatnie słowa piosenki akcentują inny aspekt ojcostwa. Była już mowa o tym, że pan był ojcem poddanych i obowiązany był się o nich troszczyć. Nasz książę zatroszczył się, zwłaszcza o ich zbawienie:

Ku serc pokrzepieniu temat —
Leży w krypcie szkłem przykryty

Książ Jarema, Książ Jarema
Ojciec dzieci na pal wbitych.

A poeta przy okazji rozprawia się z pisaniem typu sienkiewiczowskiego, choć ja raczej powiedziałabym, że po prostu uwypukla aspekty przez Sienkiewicza marginalizowane. W *Ogniem i mieczem* Wiśniowiecki też jest okrutny, ale ma to uzasadnienie i jest usprawiedliwiane tzw. wyższą koniecznością, chodzi wszak o zdławienie powstania Chmielnickiego. Kaczmarski zresztą, jak trafnie ujął to Jerzy Jedlicki, pisze „ku przerażeniu serc”, więc ustawia się po tej drugiej stronie, z Żeromskim rozdrapującym rany narodowe. Sam o tym mówi: *Moją intencją jest raczej męcenie, budzenie wątpliwości, a nie uspokajanie i podnoszenie na duchu w błogim przeświadczeniu o naszej wspaniałości.*⁹⁹ Tego być może trzeba w czasach, w których żyjemy.

„Elekcja” kończyła się widokiem jednego trupa, na „Pobojowisku” jest ich znacznie więcej:

Święty spokój nad równiną porachunków;
Krew żarliwa ścięta w galarete błota,
Słysząc tu i tam pośmiertny szczeł ryszunka,
Błyska z nieba odpryśnięty płatek złota.

Bitwa się skończyła, śmierć przedstawiona jest jako *święty spokój*, co potocznie oznacza wolność od jakichkolwiek problemów. Krew, która jeszcze niedawno wrzała, teraz miesza się z ziemią. Od pierwszego wersu mamy do czynienia z deheroizacją, ale później następuje wręcz profanacja, bo oto na pobojowisku pojawiają się jakieś żywe postaci:

Cchiwa trunku i rabunku
Tłumnie tłoczy się hołota.

Kto padł pierwszy — pełną może mieć manierkę,
Kto ostatni — skarby w bitwie z wroga zdarte.
Nim się psy i kruki zlecą na wyzerkę
W dobre ręce trafi wszystko, co coś warte (...)

⁹⁹ Ibidem, s. 122.

Na ogół przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że śmierć na polu walki jest pełna godności, tego uczy nas literatura i legendy historyczne (Roland, książę Józef Poniatowski itp.). Prawda na ogół bywa nieco inna i zbliżona do tego, co przedstawia poeta. Jednak nie mieści nam się w głowie bezczeszczenie zwłok przez okradanie ich, wywołuje to jak najgorsze skojarzenia (np. praktyki w KL Auschwitz podczas II wojny światowej). Jeszcze bardziej wstrząsający jest obraz ciał rozszarpywanych przez psy i ptaki. A tłum buszuje między zmarłymi jak hieny, bez żadnych skrupułów:

Gdy ścierają się świata mocarze
Od przepaści wieczności o krok —
My jesteśmy tych starć kronikarze:
Obdzieracze sumienni zwłok.
Kiedy staną przed Stwórcą tak nadzy
Jak ich stworzył Pan Niebios — na Sąd
My insygnia bogactwa i władzy
Z rąk podawać będziemy do rąk.

W dodatku przedstawiają swe czyny bez żenady i z odcieniem lekkiej dumy z wykonywania takiej właśnie pracy. Skontrastowana jest ona z wielkimi zadaniami, jakie mają do wykonania rządzący światem, a łupy zbierane z pola bitwy są jak kronika tejże. Poza tym wyrażone jest przekonanie, że bogactwo i władza znamionowane jest wyłącznie na zewnątrz, po śmierci wszyscy są równi i tak samo sądzeni, a to, co symbolizowało ich władzę zostanie przekazane następcom. Dokładniej o tym mówi kolejna strofa:

Mają cenę swą sygnety i pierścienie,
Co niejednej jeszcze dadzą kształt pieczęci;
Szkaplerzyki i krzyżyki też są w cenie,
Wszak ten wiary przodków znak pierś grzeszną święci:
Tak następne pokolenie
Da dowody swej pamięci.

Przyda szabla się i puklerz połupany,
Nie przepadnie pas rycerski, płaszcz i szyszak:
Obwiesimy tym gliniane nasze ściany,

Wykroimy szumne szaty dla hołysza.
Tylko pióra nam są na nic,
Bo tu nikt nie umie pisać.

Władza musi trwać i mieć ciągłość, niezależnie od okropności, przez które przechodzi za tę cenę. Co zaś do dewocjonaliów, sami sobie zawieszają je na piersi, bo religijność polska miała też, a w niektórych okresach może przede wszystkim, i to oblicze — na pokaz, a poza tym ufano, że nie ma znaczenia zachowanie, skoro Boga da się udobruchać ofiarą, pokutą czy pielgrzymką bądź też innymi zewnętrznymi objawami wiary.

Tu z kolei stawiają się jako skarbnicy historii, którzy przechowują pamiątki dla przyszłych pokoleń, ale zamiast dać dowód wierności tradycji przez walkę, ograniczają się do wieszania broni na ścianie dla ozdoby. A przy okazji dają świadectwo swej ograniczoności, wspominając o nieumiejętności pisania. Ironicznie brzmi w tym świetle miano *kronikarzy*, które sobie nadali wcześniej.

Lata tymczasem mijają:

Z czasem z pola bitwy pozostanie nazwa.
Sami dzieci nauczymy o niej pieśni,
Bo nad nami będzie przecież lśnić jak gwiazda,
Której ziemski blask z pogromuśmy wynieśli.
W łupem wyścielanych gniazdach
Sytym sępom śmierć się nie śni.

Przekazują historię bitwy dzieciom, zapewne ilustrując ją bogato tym, co wynieśli z pola. Ocena ich postępowania jest jednoznacznie negatywna, są przyrównani do ptaka symbolizującego bezwzględność, w dodatku pozbawieni są jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

Ostatnia strofa zmienia perspektywę, już nie są to jacyś źli *oni*, ale *my*:

Z czasem nowa z nas powstanie wódzów rota
Uzbrojona w historyczne argumenty.
W chamskiej dłoni buzdyganów władza złota
Wyprowadzi w pole śpiewne regimenty.
I znowu zjawi się hołota,
Żeby łan posprzątać zżęty.

Historia bowiem toczy się kołem, a w dodatku jest sprawiedliwa, więc i nas czeka koniec podobny do poprzedników. Ale nie tylko dlatego: (...) *Cały czas żyjemy z jakichś resztek, na gruzach poprzednich struktur, i z tego wciąż lepimy przyszłość.*¹⁰⁰ Niemożliwością jest uwolnienie się od przeszłości, ona determinuje nasze obecne działania, jest wszystkim, co mamy. I tak jak przodkowie byli oceniani źle, tak podmiot liryczny zbiorowość, do której należy, ocenia jednoznacznie, mało tego, nie ma wątpliwości, że następcy będą tacy sami. Takie postawienie sprawy musi przerażać.

Kolejny utwór nosi tytuł sugerujący, że traktować będzie o obyczajowości w dawnej Polsce: „**O zachowaniu się przy stole**”. Z podtytułem: za Kitowiczem. Zajrzyjmy najpierw do jego dokumentu epoki:

*Panowie tak w domach, jak na publicznych miejscach przebywając kochali się w wielkich stołach, dawali sobie na publice nawzajem obiady i wieczerze; do tych zapraszali przyjaciół, obywatelów, wojskowych i sędziackich; w domach zjeżdżali się do nich poblizsi sąsiedzi; rzadki był dzień bez gościa; częste biesiady z tańcem i pijatyką. W całym kraju pędzono życie na wesołości i lusztykach (...)*¹⁰¹

To wstęp, teraz wymienia potrawy: rosół, barszcz, sztuka mięsa, bigos hultajski, gęś z kaszą, flaki, dziczyzna z najrozmaitszymi przyprawami, kielbasy, kiszki, ryby, warzywa, na deser torty, owoce i tzw. cukry, wszystko w ogromnych ilościach (O napojach była mowa przy okazji „Dobrych rad...”). I tak na blisko dwudziestu stronach. Ważna to musiała być część życia ówczesnych Polaków, choć jej celebrowanie było brzemienne w skutki. Pisze Bockenheim:

*Zastanowiwszy się nad dietą zamożnego szlachcica, musimy dojść do wniosku, że trudno znaleźć zestaw, który sprzyjałby bardziej zapadaniu na dnę moczanową, czyli znaną z literatury podagrę, kamice nerkową, otyłość i miażdżycę.*¹⁰²

¹⁰⁰ Ibidem, s. 30.

¹⁰¹ J. Kitowicz: *Opis obyczajów za panowania Augusta III*. Warszawa 1985, s. 224.

¹⁰² K. Bockenheim, op. cit., s. 104.

Drugim utworem kojarzącym się przy tej okazji jest wiersz przypisywany Przeclawowi Słocie, o dokładnie takim samym tytule, który to utwór ma ambicje wyłożenia zasad savoir-vivre'u dotyczących biesiadowania. Są one następujące: mieć czyste ręce, nie jeść łapczywie, nie wydawać nieprzystojnych odgłosów itp.¹⁰³

A co możemy wyczytać z naszego utworu?

Polski stół zastawiony. Na chorągwi obrusach
Potu, patoki, posoki — tysiącletni lśni haft.
Śniadał na nim król, kanclerz, ksiądz, parobek i husarz,
Nici Turczyn dostarczył, Niemiec dodał warsztat i kraft.

Litwin podszył uporem Lachów niefrasobliwość,
Dziką serca tęsknotę Kozak wniósł, smutek — Żyd,
Włoch lacińskie sentencje wplótł w tkaninę cierpliwą,
Estetyczny z cyrylicą wywołując tym zgrzyt.

Jak po uczie na obrusie można wyczytać z plam, co było podawane, tak tu na obrusie zaznaczyły się wszystkie wpływy, którym kiedykolwiek podlegała Polska. Bo nie jest prawdą, że zawsze byliśmy zamknięci na wpływy z zewnątrz. Jak słusznie zauważa Tazbir: (...) *Mamy do czynienia z synkretyzmem kulturalnym na szeroka skalę. Sarmatyzm powstaje bowiem w wyniku symbiozy elementów orientalnych z rodzimymi i zachodnimi.*¹⁰⁴ O tych właśnie wspomina podmiot liryczny utworu, wskazując na bogactwo kultury czerpiącej z różnych wzorów, a jednocześnie wskazując, że nie ma takiej możliwości, by kultury nie przenikały się wzajemnie. Tylko bowiem z kontaktów wzajemnych może powstać nowa jakość, a co za tym idzie — rozwój.

Ciekawe jest pokazanie wpływów poszczególnych narodowości, które w różnych momentach historycznych rzutowały a to na modę (Turcy), na rzemiosło (Niemcy), charakter i nastawienie do różnych spraw (Litwini, Kozacy, Żydzi), edukację (Włosi), język (Rosjanie). To też swoista lekcja historii, która w dodatku po raz kolejny udowadnia, że wszelkie mówienie o czystej „polskości” jest

¹⁰³ Por. P. Słota: „O zachowaniu się przy stole”. W: *Poeci polscy od średniowiecza do baroku*. Warszawa 1977, s. 53.

¹⁰⁴ J. Tazbir: *Sarmaci...*, s.347.

absurdalne. Ale i zwraca się uwagę na fakt, że bezkrytyczne przyjmowanie wszystkiego z zagranicy może skończyć się tragicznie, tak jak to miało miejsce. Zapewne zabrakło rozsądku i „złotego środka” w korzystaniu z obcych wzorów.

Penelopa narodów — co utkała, to pruła,
Zalotników zachłanność dopełniła jej los;

Polska jest tu nie Chrystusem narodów, czyli nie ofiarą, a wręcz przeciwnie, atrakcyjną partią, na co miało wpływ i strategiczne położenie, i obszar, i bogactwo surowców oraz ziemi uprawnej. Wart zachodu posag.

Uczta na stole przykrytym scharakteryzowanym właśnie obrusem jest przerażająca. Nie zwraca się na nic uwagi, poza zaspokojeniem własnego apetytu:

Wielki budzą apetyt świeżego państwa pasztety,
Krzepki kordiał szaleju ciska iskrę w dusz chrust!
Rozgryzamy na miazgę krwawych kiszek konkrety
A na wety — kościola kołacz podnosimy do ust.
Na subtelne bebechy zbyt treściwa to strawa,
W łby, gdzie mózg się przelewa — nie nalejesz po brzeg!
Torsy w torsjach trzepoczą na złocistych zastawach,
Z rybich warg — farszu kartacz, w zadach z hukiem pruje się ścieg!

Uczający to magnateria nie przejmująca się niczym, na równi z zaborcami rozdrapująca to, co się z państwa da rozdrapać, zapamiętała w tym, rozmywająca dyskusje na konkretne tematy, religijna na pokaz, pełna sprzeczności (oksymoron „subtelne bebechy”), nieradząca sobie z zadaniami, które jej powierzono. A wszystko w stylistyce „jadalnej”, która często ma wiele znaczeń (np. chrust to inna nazwa faworków, a poza tym zawiera w sobie znaczenie kruchości i palności), pasztety i kiszki to z kolei potoczne określenia czegoś nieudanego lub sprawiającego kłopoty.

Kolejna strofa odkrywa analogie między stosunkami w państwie a zachowaniem podczas uczty:

Braćmi wzgardzi, kto z gardła puści sok na uboczu:
Nie odzyska pozycji w towarzystwie ich mord;
Zajmą wnet jego miejsce, gdy się tylko z krzesła wytoczy
Pożądlive żołądki z chrapką na wyżerkę na borg.

Nieudana to uczta, co się kończy przytomnie,
Jeśli goście w otchłanną nie zapadną się głęb,
Kiedy jeden za drugim zdoła sobie przypomnieć
Komu nakładł po pysku, kto mu złamał nos, wybił zęb.

Tak właśnie uczty opisuje Kitowicz: pito na umór, odmowa dyskwalifikowała szlachcica, często urządzano sobie wycieczki po to, by w jakimś dworku się najeść za darmo („na borg” czyli na kredyt), co niejednokrotnie rujnowało gospodarza, a po odpowiedniej dawce alkoholu wybuchały regularne bójki. Towarzystwo też raczej nieciekawe, same zapijaczone, jak pisze poeta, mordy. Takie podsumowanie oznaczało, że uczta była udana, a biesiadujący po raz kolejny udowodnili swą fantazję. Dalekie to od zachowań zalecanych przez Słotę. Jeżeli rządzenie państwem odbywało się w podobnej atmosferze, nie ma się co dziwić, że skończyło się rozbiorami.

Końcówka utworu to okrzyki wznoszone przez już pijanych biesiadników, którzy nadal są przekonani o swojej wielkiej roli w Europie i nienaruszalności dotychczasowego układu:

Europa i Azja! Miazmatów małmazja!
Karuzela i rzeźnia! *Paysage idéal!*
Hipokryzja finezji! Na amnezje — fantazja!
Dzień za dniem zmartwychwstanie — msza, pokuta — i bal!

Bełkot, z którego nic nie wynika, używanie słów, których się nie rozumie, i chyba jedynie ostatni wers jest szczery. To, co się liczy, to zabawa, nie na darmo wszyscy historycy akcentują niezwykle intensywność życia towarzyskiego w Polsce właśnie wtedy, gdy jej sytuacja międzynarodowa stawała się najbardziej dramatyczna. Być może zadziałał tu podobny czynnik jak później w epoce *fin de siècle'u*: bezradność w obliczu nadchodzącego końca jakiegoś porządku zagłuszano zabawą?

Tak kończy się epoka pierwszej Rzeczypospolitej. Jak w piosence „Krajobraz po uczcie”, gdy podpisanie abdykacji poprzedziła uczta:

Nie ogryźli kości
Nie dopili wina
Resztek jedzenia szuka pies pod stołem

3. ENCORE, JESZCZE RAZ, ENCORE...

Trzy ostatnie teksty cyklu podsumowują dotychczasowe rozważania podmiotu lirycznego i robią to z perspektywy człowieka żyjącego współcześnie, ale mającego świadomość zanurzenia w historii i tego wszystkiego, co nazywać się zwykło „dziedzictwem narodowym”. Każdy z utworów, choć mówiący o tym samym, robi to inaczej.

Pierwszy z nich nosi tytuł „**Nad spuścizną po przodkach deliberacje**”. Zaczyna się ogólną refleksją nad człowiekiem i tym, co po sobie zostawia, kiedy umiera:

Ten, co ciałem się rodzi — ciałem w nicość schodzi,
Od świata się odwraca, za pan brat z robactwem.
Kędy duch jego błądzi — pytać się nie godzi
Tym, co się jeszcze chwieją na istnienia kładce.
Nie ma przecież takiego, co całkiem umiera:
Każdy spuszcza potomnym, co zgon zbędnym czyni (...)

Mimo pewnego, nazwijmy go egzystencjalnym, lęku (metafora przedstawiająca życie jako kładkę, czyli z samej natury coś nietrwałego i niestabilnego, a co jeszcze podkreślone jest czasownikiem *chwiać się*), w utworze widoczne jest głębokie przekonanie, że choć ciało umiera, a z duszą nie wiadomo, co się dzieje (naturalnie, jeśli ktoś jest wierzący, nie ma takich dylematów, ale poeta dał nieraz dowód na to, że jest raczej wątpiący i takie są liczne podmioty liryczne jego wierszy), to coś jednak po nas pozostaje i w ten sposób nie umiera się całkiem. Z reguły są to drobne przedmioty, zdjęcia, wspomnienia. Ale spuścizna po przodkach omawiana w utworze nie jest taka do końca typowa, bo nie możemy ich pamiętać, a wiedzę czerpiemy z książek historycznych, pamiętników, dzieł sztuki. Cóż takiego nam przekazują, możemy się spodziewać, bo wszyscy mamy mniej więcej taką samą wiedzę, chyba że ktoś prowadził głębsze studia na własną rękę.

Mówiłam o galerii postaci w *Sarmatii*. Tu też jest katalog różnych zachowań, postaw życiowych. I tak pierwszy bohater to dewot, którego religijność przybiera

formy dość drastyczne — „ciała nigdy nie mył”. W nadziei na zbawienie cały majątek (kto wie, czy nie zgromadzony jeszcze za czasów przynależności do innego obrządku — taki, który „bogactwa niezmiernie zdobył lub nazbierał” był zazwyczaj protestantem, umartwianie się było zaś domeną katolików) zapisuje klasztorowi, skazując tym samym dzieci na poniewierkę.

Drugi wprawdzie zadbał o wyposażenie dzieci, ale zrobił to kosztem napadania na sąsiadów, więc oni po jego śmierci odpłacili pięknym za nadobne i efekt był podobny jak powyżej — „Łup się znowu w łup obrócił, diabli wzięli wszystko.”

Kolejny to niezwykle przystojny hazardzista — „(...) mógłby z Apollinem równać się urodą, / Grał też, ale nie na harfie (...)”, który tak się zapamiętał w swym karcianym nałogu, że przegrał wszystko, łącznie z żoną, po czym znalazł jedyne wyjście z sytuacji, a mianowicie zastrzelił się. Podmiot liryczny komentuje to ironicznie — „Honor — nie igraszka!”. Dziwne, że ten honor tak właśnie się przejawia i sprowadza tylko do tchórzliwej ucieczki od odpowiedzialności i poniesienia konsekwencji swoich czynów.

Wreszcie ostatni, najszlachetniejszy z tu przedstawionych, bo cały majątek przeznaczył na różne instytucje państwowe i kościelne, choć zapewne nie zawsze te pieniądze trafiały do faktycznie potrzebujących — „(...) nie dbał w kieszenie czyje jego grosz się wśliźnie”. Umiera w biedzie, ale i z poczuciem dobrze spełnionego patriotycznego obowiązku.

Wszystkich podsumowuje strofa:

Patrzą na nas z portretów, kryją się po księgach,
Na gniew nasz obojętni w tej ponurej dobie,
Że się naszą mizérią płaci ich potęga,
Bo za życia — zwykli myśleć tylko o sobie.

Sytuacja jest podobna do tej z „Tradycji”, także tutaj podmiot liryczny wyraża opinię, że to przodkowie są wszystkiemu winni, że nie dali nam właściwego przykładu, wreszcie oskarża ich, słusznie zresztą, o egoizm i krótkowzroczność w działaniach. Czy tylko dlatego żyjemy w *ponurej dobie*?

Z tych, co się jeszcze chwieją na istnienia kładce
Mało kto, zamiast gniewać się na to, co było,
Zęby ściśnie i powie — długi ojców splecę,
A co ich ułomnością — moją będzie siłą!

O tym fragmencie mówi sam Jacek Kaczmarski:

*Według mnie historia jest raczej pewnym fatum ciężącym na ludziach. Jest tym wszystkim, co pozostaje ponad zdarzeniami, ponad faktografią. Pozostaje pewnym wyobrażeniem, mitologią albo zbiorową podświadomością, która steruje zachowaniami ludzi, bez ich wiedzy na ten temat.*¹⁰⁵

Może pora uderzyć we własne piersi, zastanowić, ile z grzechów Polski doby prywaty, zabobonu i nietolerancji wciąż powtarzamy. Niestety, tak czyniących jest niewielu, ale w nich, w nas jest nadzieja na zmianę, na pozbycie się negatywnych obciążeń przeszłości, a wykorzystanie tego, co w niej dobre i wartościowe. I to jest zmiana w stosunku do koncepcji zwartej w „Pobojowisku”, bo tam byliśmy trybikami maszyny historycznej, a tu możemy sami kształtować przyszłość:

*Nie jesteśmy bezpośrednimi spadkobiercami ani wielkości przeszłej ani małości — ani rozumu, ani głupoty — ani cnoty, ani grzechu — i każdy za siebie tylko jest odpowiedzialny, każdy jest sobą.*¹⁰⁶

Tak pisał Witold Gombrowicz w latach pięćdziesiątych i te słowa posłużą za wprowadzenie do kolejnego utworu.

„Według Gombrowicza narodu obrażanie”

Tekst odwołuje się do sądów pisarza na temat polskości, charakteru narodowego, tradycji i zagadnień pokrewnych, bo z nimi właśnie Gombrowicz się rozprawiał w *Ferdydurke* (miała ona być artystycznym wyrazem tego

¹⁰⁵ *Pożegnanie...*, s. 121.

¹⁰⁶ W. Gombrowicz: *Dziennik 1953-1956*. Krzaków 1986, s. 15.

odczucia nieokreśloności, wielowymiarowości, wewnętrznej niekoherencji, a przede wszystkim – uzależnienia od innych i walki z nimi o własną, indywidualną tożsamość ¹⁰⁷), *Transatlantyku (jest dość nawet intensywnym porachunkiem (...) z Polską taką, jaką stworzyły warunki jej historycznego bytowania i jej umieszczenia w świecie, to znaczy z Polską słabą (...)) A nawet ukrywa w swym wnętrzu pewien wyraźny postulat (...) przewyciężyć polskość. Rozluźnić to nasze poddanie się Polsce! (...) Uzyskać swobodę wobec formy polskiej, będąc Polakiem być jednak kimś obszerniejszym i wyższym od Polaka!* ¹⁰⁸) czy *Dziennikach*.

Podmiot liryczny dokonuje analizy składników „polskości”, podobnie jak w „O zachowaniu się przy stole”. I tu rezultaty nie świadczą o nas dobrze:

Polak –to embrion narodziarski;
Z lepianek począł się, z zaścianków,
Z najazdów ruskich i tatarskich,
Z niemieckich katedr, włoskich zamków.
W genealogii tej określił
Oryginalny naród się by.
Gdyby się uczył własnej treści,
Zamiast przymierzać cudze gęby.

Na początku cyklu mamy do czynienia z rodowodem jednej osoby, tu robi się swoiste drzewo genealogiczne dla całego narodu. Tym, co uderza nas już w pierwszym wersie, jest sąd, że oto mowa jest o genealogii czegoś jeszcze niedojrzałego. W ten sposób na plan pierwszy katalogu wad narodowych wysuwa się niedojrzałość, co ma wydzźwięk prześmiewczy czy wręcz deprecjonujący ponadtysiącletni naród. Różne mogą być jej przyczyny; tu, wydaje się, jest nią nieumiejętność wykorzystania w oryginalny sposób wpływów oddziałujących na kraj w trakcie jego rozwoju.

Drugą wadą narodową jest wewnętrzna sprzeczność, miotanie się między skrajnościami:

¹⁰⁷ W. Bolecki: *Przewodnik po labiryncie*. W: W. Gombrowicz: *Ferdydurke*. Kraków 1997, s. 255.

¹⁰⁸ W. Gombrowicz: *Transatlantyk*. Kraków 1988, s. 6.

Chrystusem był i Rzymianinem,
I w tej sprzeczności żył — i wyżył:
To dźwigał krzyż i czyjaś winę,
To znów na szyi — tylko krzyżyk.
U Żyda pił, batożył Żyda
A przed żydowską Matką klękał
I czekał łaski malowidła
Najświętsza ratuj go panienka!

Te skrajności to przyjmowanie pozycji ofiary na zewnątrz i wywyższanie się wobec innych wewnątrz własnego państwa, branie na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności lub uciekanie od niej, dewocja i życie w niezgodzie z zasadami religii. To odwieczna bolączka Polaków.

Kolejna wada to niechęć do zmieniania się, do pracy nad sobą („Nie lubi stwarzać się — być chciałby.”), a także patrzenie z perspektywy często zbyt odległej zamiast właściwej, co dowcipnie obrócone jest na korzyść: „Słusznie się lęka Pan Ciemności, / Że ciężko będzie miał z Lachami; / W szczegółach przecież diabeł gości, / A Polak gardzi szczegółami!”.

Z niechęcią do zmian łączy się niechęć do tworzenia, zatem w ogóle Polaków cechuje niechęć do wysiłku:

Nie lubi tworzyć, lecz zdobywać
Gdy niedostatek mu doskwiera.
Uchodzi więc za bohatera,
Ale nim nie jest, chociaż bywa.
Gdy świat przesyje myśli błyskiem
I wielką prawdę w lot uchwyci,
To traci na niej zamiast zyskać
I jeszcze będzie się tym szczycił.

Łączy się z tym jeszcze jedno, mianowicie fakt, że nasze bohaterstwo w dużej mierze jest rozmyte w cierpieniu. Cierpienie zaś to właśnie bierność, czekanie nie wiadomo na co. Polak kocha cierpieć, to niemal sens jego istnienia. Dlatego mamy problemy z przekuwaniem czegokolwiek w światowy sukces, a jego brak staje się paradoksalnie powodem do dumy, bo potwierdza tezę o wybitnych, acz

niedocenianych współcześnie narodach. Czy zresztą nie panuje u nas do tej pory przekonanie, że na przykład naukowiec wręcz nie powinien zarabiać na swej wiedzy, bo to się kłóci z jakimiś wyższymi ideałami? Nie radzimy sobie z sukcesami, bo do nich nie przywykliśmy, a cierpiętnictwo Polak wysysa z mlekiem matki.

Zapatrzenie w przeszłość jest pokazane jako zabawa dziecka (znów ta niedojrzałość!), przebieranki, w podtekście te wszystkie „pupy” i „gęby” zapewne, z którymi próbują walczyć bohaterowie „powieści o dojrzewaniu”, które przecież nie następuje, bo po raz kolejny okazuje się, że nie ma sensu walczyć, jeśli się nie ma koncepcji na to, kim się chce być — do czego ta walka ma doprowadzić:

Jak dziecko lubi się przebierać
Powtarza słowa, miny, gesty,
W dziadkowych nosić się orderach
I nigdy mu niczego nie wstyd.

Pisał Gombrowicz w *Dzienniku*:

Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha..., gdzie odśpiewawszy „Rotę” i odtańczywszy krakowiaka, przystąpiono do wysłuchiwanie mówcy, który wysławiał naród albowiem „wydaliśmy Szopena”, albowiem „mamy Curie-Skłodowską” i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa a konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępową... Tłumaczył on sobie i zebranym, że jesteśmy wielkim narodem (...) Ale ja odczuwałem ten obrządek jakby z piekła rodem, ta msza narodowa stawała mi się czymś szatańsko szyderczym i złośliwie groteskowym (...) Szopen z Mickiewiczem służą wam tylko do uwypuklenia waszej małości — gdyż wy z naiwnością dzieci potrząsacie przed nosem znudzonych zagranicy tymi polonezami po to jedynie, aby wzmocnić nadwątlone poczucie własnej wartości i dodać sobie znaczenia. Jesteście jak biedak, który chwali się, że jego babka miała folwark i bywała w Paryżu. Jesteście ubogimi krewnymi świata,

*którzy usiłują imponować sobie i innym. Nie to wszakże było najgorsze i najdotkliwsze, najbardziej upokarzające i bolesne. Najstraszniejsze było, iż poświęcano życie, współczesny rozum na rzecz nieboszczyków.*¹⁰⁹

Można bez ryzyka pomyłki powiedzieć, że sami sobie przygotowujemy „gęby”, mniej lub bardziej świadomie, oraz że włączamy się w rozmaite formy. To prawda, że życie bez formy jest niemożliwe, ale można się od niej zdystansować. Ale to z kolei wymagałoby wysiłku samookreślenia się, a niechęć do wysiłku już była wymieniana jako jedna z naszych narodowych wad. I po raz kolejny tracimy terażniejszość zapatrzeni w przeszłość, żyjący przeszłością.

Niewykluczone, że takie zachowanie podyktowane jest strachem. Polak to tchórz, boi się tego, co nowe i nieznane, nieoswojone:

W niewoli — za wolnością płacze
Nie wierząc, by ją kiedyś zyskał,
Toteż gdy wolność swą zobaczy
Święconą wodą na nią pryska.
Bezpiecznie tylko chciał gardłować
I romantycznie o niej marzyć,
A tu się ciałem stały słowa
I Bóg wie, co się może zdarzyć!

Strach przed nowym miesza się w nas z żalem za utraconym. Ale to wszystko rozgrywa się tylko w sferze słów, w gębie zawsze byliśmy mocni. Słowa nic nie kosztują, a czyny wymagają wysiłku i poświęceń, niewielu jest na to gotowych. Piętnowana jest także niechęć do brania spraw w swoje ręce, zdawanie się na „wolę boską”.

Ostatnia strofa w dowcipny sposób nawiązuje do zakończenia *Ferdydurke*. Wprawdzie podmiot liryczny nie mówi nam, że „kto czytał, ten trąba”, ale też puentuje tekst wierszykiem, który kończy się wysadzeniem „narodowej” bomby:

¹⁰⁹ W. Gombrowicz: *Dziennik...*, s. 12-13.

„Z bomby błysk, czyli *blitz* — / Znowu nie ma nic.” Nie jest to chyba zbyt optymistyczne, że by się zmienić, musi nastąpić destrukcja poprzedniego świata...

Ostatni, zamykający cykl *Sarmatia* wiersz nosi tytuł „**Z XVI-wiecznym portretem trumiennym rozmowa**”. Portret trumienny to była polska osobliwość (podobno spopularyzował go Zygmunt August, który, żegnając ukochaną Barbarę, chciał ją mieć przed oczyma):

*Malowane olejną farbą, umieszczane na wezglowiu lub nogach trumny
(...) Przedstawiały realistyczny portret zmarłego, malowany tuż po
śmierci albo jeszcze za życia, gdyż często przygotowywano sobie
trumnę lub grobowiec wcześniej;*¹¹⁰

*Portret jest wyrazem zadowolenia z siebie, bezpiecznej ufności
w działanie przywilejów stanowych także w zaświatach (...) Oni bali
się śmierci, ale w jej fizycznym i materialnym wymiarze, jako choroby,
cierpienia, jako straty ciała, zmysłów, a także dóbr i stanowisk.
Natomiast nie bali się jej prawie wcale w sensie eschatologicznym.
Patrząc im w malowane oczy, człek nabiera przekonania, że oni
„po tamtej stronie” pewni są opieki, skutecznego wstawiennictwa.*¹¹¹

Tę tezę potwierdza Bogucka:

*Śmierć nie była zjawiskiem odległym, nieznanym, o którym unika się
rozmów i omija we własnych myślach. Każdy od dziecka wielokrotnie
ocierał się bezpośrednio o zgon w całym jego dramatyzmie,
a zarazem... prostocie i naturalności. Zapewne właśnie owo codzienne
obcowanie ze śmiercią — choć może się wydać paradoksalne —
niwelowało strach, gdyż czyniło śmierć zjawiskiem zwykłym,
famiarnym, powszednim. W pewnym sensie przywykano do śmierci,
uczono się ją akceptować nieomal jako element codziennego życia.*¹¹²

¹¹⁰ K. Bockenheimer, op. cit., s. 195.

¹¹¹ T. Chrzanowski, op. cit., s. 232-233.

¹¹² M. Bogucka, op. cit., s. 54.

Można pozazdrościć takiego podejścia; nasza epoka robi wszystko by śmierć przechytryć lub co najmniej odsunąć. Co jeszcze może przekazać nam przodek patrzący z portretu i czy potrafimy skorzystać z jego nauk?

Zaczyna się wiersz od prośby skierowanej w stronę postaci z portretu ze strony na wskroś współczesnego podmiotu lirycznego:

 Nie patrz na nas z wyrzutem pyszny szalawilo,
 Bądźże z sercem otwartym dla dzieci swych dzieci.
 Od twoich czasów sławnych tyle się zmieniło,
 Że szkoda zawracać tym głowę Waszeci.

Mimo, że tytuł nie akcentuje osoby interlokutora, jest on obecny od pierwszych słów, choć się nie odzywa. Charakteryzuje go podmiot liryczny za pomocą tego, co widzi i nabytej wiedzy historycznej. Nie bez znaczenia jest fakt, że do analizy pozytywnej wybrał on sobie osobę żyjącą w „złotym wieku”, który jest symbolem i ucieleśnieniem wszelkich cnót państwowych i obywatelskich.

Analiza ta jest analizą porównawczą, po każdym fragmencie o przeszłości mamy odniesienie do czasów obecnych, nietrudno się domyślić, że *in minus*:

 Mało wiemy o Tobie, coś na Turka chadzał,
 Węgra królem obierał i tratował Szweda,
 Ale patrzył i tego, by obrona władza
 Nie zabrała Ci czasem, czegoś sam jej nie dał.

 A nie dałeś jej prawa by Ci grozić drewnem
 Bo przed Bogiem za posła nie chcesz jezuity,
 By na takie Cię pola mogła słać bitewne,
 Gdzie krew i rany — Twoje, a cudze profity.

 A my, co rusz, to przed kimś
 Kolejnym — na kolanach;
 Dalekośmy odeszli
 Od siły Waszmość Pana.
 Po wciąż to nowych dworach
 Pętamy się nie w porę;
 Kochamy się w honorach,
 Nie znamy się z honorem.

Podmiot zastrzega sobie prawo do błędów w ocenie, bo — o czym już była mowa w „Nad spuścizną...” — czerpie swą wiedzę z cudzych przekazów, ale tylko to ma do dyspozycji. To, co zwykle przedstawiane jest jako wada, tu ukazane jest w pozytywnym świetle. Podobnie zrobił Koehler we wstępie do swojej antologii poezji sarmackiej, szukając usprawiedliwienia dla takich, a nie innych zachowań:

*Czy ostre, niekiedy brutalne spory pomiędzy różniącymi się w wierze można nazwać nietolerancją? Czy zwycięstwo w tych sporach jednej ze stron jest dowodem na nietolerancję? Czy wygnanie arian jest dowodem nietolerancyjności, czy raczej polityczną konsekwencją sytuacji, która powstała po szwedzkim „potopie”? Podobne pytania można postawić zarzutem odnośnie do szlacheckiej ksenofobii i megalomanii. Czy poczucie dumy z dokonań własnej kultury (poczucie całkowicie uzasadnione!) można nazywać megalomanią? Pytania takie jak przedstawione tutaj stawiać należy, z tego prostego powodu, że używając pseudo-opisowych terminów tej kultury, najczęściej nie tyle opisujemy ją, ile nieustannie ją oceniamy, przekształcając się z badaczy — w prokuratorów bądź sędziów. Niebezpiecznie blisko nam z takiej perspektywy do pozycji ludzi „lepiej wiedzących”, „więcej rozumiejących”, „mądrzejszych”. Wydaje się, że chociażby z racji pokory badacza wobec faktów, należy porzucić taki typ rozumowania, a zająć się zupełnie czym innym: po prostu opisem świadomości ludzi (...) Tylko bowiem dzięki zdecydowanie prowadzonym sine ira et studio poszukiwaniom mamy szansę poznania złożoności i wieloaspektowości kultury sarmackiej.*¹¹³

Tak czyni podmiot liryczny, uznając, że ma prawo do oceny wyłącznie siebie i sobie współczesnych, bo to zna. Dlatego kontrastuje dumę z naszym poczuciem niższości, poszukiwaniem silniejszych protektorów (czy nie to mieli na myśli publicyści zachodnioeuropejscy piszący, że Polska jest „osłem trojańskim” Ameryki

¹¹³ K. Koehler, op. cit., s. 8-9.

w Europie?). Czuje się winny wobec przodka, który dał przykłady godnego życia, więc prosi go:

Łypnij na nas łagodniej okiem wyrazistym
Co widziało królestwa Twojego Wiek Złoty,
Zamiast łąać nas z trumny za sprawą artysty,
Że są czasy kolosów i czasy miernoty.

Rzymskim prawem się szczyisz opartym na sile:
Dłoń złocisty pas maca, kręci wąs sumiasty;
Ale wyrozumiałość — to siły przywilej
Urodzony z r o z u m u na Twój wiek szesnasty.

Zmiana w rozumowaniu polega i na tym, że być może przodkowie nasi popsuli wiele rzeczy, ale i my przyłożyliśmy i dalej przykładamy rękę do negatywnego obrazu Polski i Polaków. Czai się gdzieś pytanie, czy nie bardziej nawet my niż oni, bo za nami nie stoi nic, co byśmy sami stworzyli, przyszlismy na gotowe, czerpiemy ze skarbcza przeszłości. Wiek XVI to siła, rozum, wiek XX to miernota, bezmyślność:

I my — na byle słowo
Na tylne stajem łapki (...)
Brakuje nam mądrości,
Kochamy się w mądrościach.

Kolejna strofa uwydatnia różnicę w działaniu i słowie: wtedy słowo nie było rzucane na wiatr, teraz nikt do niego nie przywiązuje wagi. Podkreślone jest życie pełnią życia, nawet z ryzykiem porażki, ale za to bez żalu, że coś umknęło, podczas gdy dziś naczelną zaletą jest ostrożność — byle się nie wychylić, nie narazić, nie stracić tego, co się ma. Nie jesteśmy pewni tego, że jesteśmy coś warci, a przecież jeśli sami się nie cenimy, jak mamy wymagać tego od innych? Dlatego możemy czuć zakłopotanie:

*Znajdujemy się bowiem nagle w świecie ludzi tak pewnych swego znaczenia i swej osobowości, że nie zapierają się brzydoty, chamstwa, gminności nawet, śmiało patrząc w oczy i nam, i własnej śmierci.*¹¹⁴

¹¹⁴ T. Chrzanowski, op. cit., s. 50.

Podmiot liryczny zdaje sobie sprawę z „grzeszków” przodka, ale i tak jest zdania, że my ich popełniamy więcej. Jedyne, co odziedziczyliśmy, to sarmacka buta, która każe wykrzyknąć na koniec:

Lecz ujrzy przodek w grobie
Na co nas jeszcze stać:
Bo się kochamy — w sobie!
Nie pragnąc — siebie — znać!

Jest różnica między uzasadnioną dumą, a samouwielbieniem mimo wad, które tak chętnie zrzucamy na innych.

Przeszłość jest lustrem, w którym się odbijamy:

Jeśli ktoś próbuje znaleźć swoją tożsamość, odwołując się do potęgi i chwały Rzeczypospolitej, to na pewno powinien odnosić się do XVI wieku. Tej Polski wielonarodowej, wieloreligijnej i tolerancyjnej, kiedy demokracja szlachecka miała impet, wynikający ze współistnienia najróżniejszych postaw kulturowych i religijnych. ¹¹⁵

Trudno oprzeć się wrażeniu, że — w świetle tekstów Kaczmarek — nasze odbicie jest wykrzywione, karykaturalne, jak w gabinecie krzywych luster. Może zamiast oceniać przeszłość, powinniśmy skupić się na rozpracowaniu własnych błędów i coś z nimi zrobić, by wreszcie zmienić stereotyp Polaka z katalogiem wiecznie aktualnych wad?

¹¹⁵ *Pożegnanie...*, s. 7.

Zakończenie

Teksty Kaczmarek dotyczące historii są pisane — jak program właśnie zanalizowany — w celu niesienia przestrogi, pokazania determinizmu historycznego, powtarzalności zdarzeń lub po prostu odwołują się do wydarzeń ważnych i trudnych, wartych przypominania, często i takich, o których nie mówiono do niedawna głośno (np. „Jałta” czy „Katyń”). Historia ta jest szeroko pojęta, poczynając od opisu legendarnego stworzenia świata, skończywszy na komentowaniu historii najnowszej, którą zwykliśmy nazywać polityką; nie sposób ich zresztą rozdzielić. Rzadko kiedy Kaczmarek stosuje lirykę bezpośrednią, woli ukrywać się za postaciami, które bądź to w opisywanych wydarzeniach grały rolę pierwszoplanową, bądź były ich świadkami, przy czym postaci te dzielą się na historyczne lub fikcyjne, ale prawdopodobne. Stąd z jednej strony Katarzyna II, autentyczni ambasadorowie francuscy, Marcin Luter, a z drugiej zesłańcy, więźniarki obozu, szwoleżerowie spod Somosierry. Podobnie jak w *Sarmatii* każdy z nich dostaje prawo głosu, a taki bezpośredni przekaz wzmacnia treści zawarte w utworze, każe zastanowić się nad tym, jak skomplikowana jest historia i jak niedokładne i powierzchowne są nasze oceny. Dobitnie wyraził to w „Rehabilitacji komunistów”: „Niechby się inaczej zgięła historii sprężyna, / a rehabilitowalibyśmy dziś Stalina.” Niewiele się pomylił, Stalina jeszcze nie, ale choćby epoka Gierka to sztandarowy przykład przywoływany jako wyraz tęsknoty za komunizmem, a raczej państwem opiekuńczym.

Trudność w ocenach, a także i wahanie, czy mamy do nich prawo, sprawiły, że Kaczmarek nigdy nie mówi: było tak i tak. On mówi: mogło być tak lub tak. Nie narzuca swych ocen i sądów, daje nam możliwość przemyślenia i samodzielnego

ustosunkowania się do opisywanych zdarzeń. Historia nauczycielką życia być może nie jest, Kaczmarek zaś jest jeśli nie nauczycielem, to przewodnikiem po niej. Swym fascynującym opowieściami o historii (zresztą jak i o literaturze czy malarstwie) zawdzięcza obecność w szkole — wielu nauczycieli traktuje jego utwory jako świetną egzemplifikację tego, o czym podręcznik mówi sucho i rzeczowo. Z tych samych powodów jest pewnie słuchany przez trzecie pokolenie, a jego popularność nie słabnie. Młodzież nie lubi prowadzenia za rękę, ale potrzebuje autorytetu, któremu się wierzy i ufa. I jeśli ten autorytet w dodatku zostawia swobodę myślenia, nie może to pozostać bez odzewu. Słuchając piosenek Kaczmareckiego, uświadamiamy sobie, że historia wciąż się dzieje, że to i my ją tworzymy, a może nawet my nią jesteśmy. To odpowiedzialne zadanie.

*Na początku jest stary miedzioryt, sztych, portret trumienny. Może też być legenda, relacja kronikarska, receptura magiczna (...) Wyobraźnia Kaczmareckiego zawsze zaczyna się o historyczny konkret, dokument, wiersz.*¹¹⁶

Słowa te pisane były z myślą o *Sarmatii*, ale dobrze oddają zasadę rządzącą poezją Kaczmareckiego. Nawet w utworach, w których wydarzenia historyczne są tylko pretekstem do szerszych rozważań, początek jest konkretny: odkopywanie ruin starożytnego miasta („Pompeja”), program telewizyjny („Świadkowie”), śledzenie losów kolegów („Nasza klasa”). Dopiero potem następują ogólne refleksje na temat nigdy niezmiennych się zachowań ludzkich, tych samych od stuleci namiętności i błędów itp. I albo z tego wyciągniemy wnioski, albo nie.

Sarmatia, jak sądzę, wyrosła na równi z zainteresowania historią, co z chęci wprowadzenia fermentu we współczesne życie społeczno-polityczne w celu wywołania zmian. Piętnując wady przodków, dając prawo głosu warchołom, szlachciutom, ciemnocie, możnym, stylizując język na staropolski powtarza Kaczmarek za Gogolem: *Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!* Jerzy Jedlicki widzi w tym cyklu pesymizm, ja wręcz odwrotnie. Jasne, że diagnoza

¹¹⁶ J. Jedlicki, recenzja *Sarmatii* na www.kaczmarecki.silken.art.pl

i ocena nie są zbyt krzepiące — podobnie zauważył już w latach sześćdziesiątych Jan Błoński w szkicu *Sarmata święty i śmieszny*, pisząc:

*Dzisiejszy Polak bywa bardzo często drobnomieszczaninem rozzuchwalonym i sfrustrowanym jednocześnie (...) Niby to wszystko może, odjęto mu ciężar przeznaczenia (...) Jeszcze sobie nie uprzytomnił, jak skromne — na miarę opłotków, z których wyszedł — stawia sobie cele; spełnia je z plebejską zaciekłością, chociaż z minimalnym ryzykiem. Dochowuje wierności starym wiarom, bez żenady świecąc diabłu ogarek (...) Ma swój rozum, swoje wie.*¹¹⁷

Zamiast jednak załamywać ręce, poeta przyjmuje taktykę prowokacji. Pamiętając, że Polak jest przekorny i niepokorny, widzi szansę na to, że poczuje się on obrażony i spróbuje zmienić siebie na zasadzie „a właśnie, że ja ci pokażę!”. Można naturalnie polemizować, czy taka taktyka odniesie pożądany skutek, może lepiej byłoby prosić, tak jak Tadeusz Chrzanowski: *Mogę jedynie współczesnych „Sarmatów” zachęcać do pracy, przede wszystkim pracy myśli, a więc do przewalczenia dziedzicznych lenistw.*¹¹⁸ W każdym z tych sądów jest nuta optymizmu, w końcu ludzie je piszący wyrastają z tej samej historii, mają to samo dziedzictwo, a widzą jakby wyraźniej, więc każdy ma na to szansę.

Kaczmarek nie jest oryginalny, kiedy postuluje czerpanie z dobrych wzorów i ich twórcze przekształcanie zgodnie z wymogiem czasów, w których żyjemy. Jego nowatorstwo polega na sposobie przekazu, na atrakcyjnej formie podania nam tej lekcji, na niestawianiu się w pozycji tego, który wie lepiej, raczej zachęcaniu do wspólnych przemyśleń i poszukiwań. A wszystko ubrane w barwny kostium z epoki, z wielką dbałością o szczegóły. Jego postawę nazwałabym, idąc za tokiem rozumowania Tazbira, przyszłościowo-optymistyczną, bo przecież bez wiary w odniesienie skutku za pomocą wierszy, jakkolwiek nie byłaby ona naiwna (kto teraz czyta! Choć z drugiej strony te utwory są prymarnie przeznaczone do słuchania, nie — czytania), nie powstałby ten cykl.

¹¹⁷ J. Błoński: *Kilka myśli co nie nowe*. Kraków 1985, s. 58.

¹¹⁸ T. Chrzanowski, op. cit., s. 317.

Sarmatia nie traci na aktualności, a być może nabiera jej jeszcze teraz, kiedy potrzeba samookreślenia się Polaków jest chyba największa i najbardziej piekąca od przemian roku '89. Teraz, gdy jedni nie wahają się krzyknąć: „Ja pójdę pierwszy! Ja was poprowadzę!”, licząc być może na to, że usłyszą zrezygnowane: „Pójdę tam, gdzie ślepiec poprowadzi”. Teraz, kiedy inni próbują strach przed nieznanym podsycać obudzonymi upiorami przeszłości i budować nowe mury, przed czym przestrzegał Kaczmarek w swoim najsłynniejszym, choć powszechnie niezrozumianym utworze. Program sprzed ponad dekady brzmi dziś mocniej niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedykolwiek ma szansę na szeroki oddźwięk, bo nagła, przedwczesna i nieoczekiwana śmierć Jacka Kaczmareka 10 kwietnia tego roku, w wieku zaledwie 47 lat, spowodowała wzrost zainteresowania jego twórczością. Wątpiąc, wierzę, że okazemy się pojętnymi uczniami.

Bibliografia podmiotowa

1. J. Kaczmarek: *A śpiewak także był sam*. Warszawa 1998.
2. *Pożegnanie barda. Z Jackiem Kaczmarekiem rozmawia Grażyna Preder*. Koszalin 1996.

Bibliografia przedmiotowa

1. S. Barańczak: *Uciekinier z Utopii*. Wrocław 1994.
2. J. Błoński: *Kilka myśli co nie nowe*. Kraków 1985.
3. K. Bockenheim: *Dworek, kontusz, karabela*. Wrocław 2002.
4. M. Bogucka: *Staropolskie obyczaje w XVI-XVII wieku*. Warszawa 1994.
5. J. S. Bystron: *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVII*. Warszawa 1976.
6. T. Chrzanowski: *Wędrowki po Sarmacji europejskiej. Eseje o sztuce i kulturze staropolskiej*. Kraków 1988.
7. W. Czapliński: *O Polsce siedemnastowiecznej. Problemy i sprawy*. Warszawa 1966.
8. N. Davies: *Boże igrzysko*. T. 1. Kraków 1991.
9. R. Gałaj: *Życie codzienne szlachty polskiej w okresie sarmatyzmu*. Szczecin 1998.

10. W. Gombrowicz: *Dziennik 1957-1961*. Kraków 1986.
11. W. Gombrowicz: *Dziennik 1967-1969*. Kraków 1992.
12. W. Gombrowicz: *Ferdydurke*. Kraków 1997.
13. W. Gombrowicz: *Transatlantyk*. Kraków 1988.
14. S. Grzybowski: *Sarmatyzm*. Warszawa 1996.
15. *Helikon sarmacki. Wątki i tematy polskiej poezji barokowej*.
Wstęp A. Vincenz. Oprac. M. Malicki. Wrocław 1989.
16. J. Kitowicz: *Opis obyczajów za panowania Augusta III*. Warszawa 1985.
17. M. Klimowicz: *Oświecenie*. Warszawa 1998.
18. K. Koehler: *Słuchaj mię, Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*.
Kraków 2002.
19. W. Konopczyński: *Dzieje Polski nowożytnej*. Warszawa 1986.
20. S. Kot: *Polska złotego wieku a Europa. Studia i szkice*. Warszawa 1987.
21. Z. Kuchowicz: *Obyczaje staropolskie*. Łódź 1975.
22. Maciej z Miechowa: *Opis Sarmacji azjatyckiej i europejskiej*. Wrocław 1972.
23. J. Maciejewski: *Sarmatyzm jako formacja kulturowa*. „Teksty” 1974, nr 4.
24. *Mały słownik języka polskiego*. Red. E. Sobol. Warszawa 1999.
25. T. Mańkowski: *Genealogia sarmatyzmu*. Warszawa 1946.
26. J. Marciszewski: *Szlachta polska i jej państwo*. Warszawa 1986.
27. A. Mączak: *W czasach „potopu”*. Wrocław 1999.
28. J. Pelc: *Barok — epoka przeciwieństw*.
29. *Poeci polscy od średniowiecza do baroku*. Oprac. K. Żukowska.
Warszawa 1977.
30. *Polska XVII wieku. Państwo — społeczeństwo — kultura*. Red. J. Tazbir.
Warszawa 1974.
31. H. Samsonowicz: *Historia Polski do roku 1795*. Warszawa 1989.
32. *Słownik literatury polskiego Oświecenia*. Red. T. Kostkiewiczowa.
Warszawa 1996.
33. *Słownik literatury polskiej XIX wieku*. Red. J. Bachórz i A. Kowalczykowa.
Warszawa 1991.
34. T. Sulimirski: *Sarmaci*. Warszawa 1979.

35. *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*. Warszawa 1973.
36. M. Taszycka: *Polskie pasy kontuszowe*. Kraków 1985.
37. J. Tazbir: *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit – upadek – relikty*.
Warszawa 1983.
38. J. Tazbir: *Polskie przedmurze chrześcijańskiej Europy. Mity a rzeczywistość historyczna*. Warszawa 1987.
39. J. Tazbir: *Rzeczpospolita i świat. Studia z dziejów kultury XVII wieku*.
Wrocław 1971.
40. J. Tazbir: *Sarmaci i świat. Prace wybrane*. T. 3. Kraków 2001.
41. J. Tazbir: *Świat Panów Pasków. Eseje i studia*. Łódź 1986.
42. T. Ulewicz: *Sarmacja. Studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI wieku*.
Kraków 1950.
43. A. Waśko: *Romantyczny sarmatyzm. Tradycja szlachecka w literaturze polskiej lat 1831-1863*. Kraków 1995.
44. *Wiek XVII – kontrreformacja – barok. Prace z historii kultury*. Red. J. Pelc.
Wrocław 1970.

Aneks: słowa piosenek Jacka Kaczmarskiego omawianych w pracy

Krajobraz po uczcie

Nie ogryźli kości, nie dopili wina
Resztek jedzenia szuka pies pod stołem
Na dębowym blacie obrana cytryna
I suche pestki czereśni dookoła
Odeszli z damami o zatłuszczonych wargach
Do łóżnic szerokich za ciężkie zasłony
Gdzie biały pudel kraj krynoliny targa
Przez panią w rumieńcach za fotel rzuconej

A w stolicy koronacja się zaczyna
I król światowy pokazuje szyk
Ale z obecnych nie wie jeszcze nikt
Że na tortach dał napis „Wiwat Katarzyna”

Ksiąg nie doczytali, nie skończyli pisać
Drukując hymny gorące epistoły
Jakby miały spoić pękniętych ścian rysy
Gryzące pochwały, pochwalne gryzmoły
Odeszli do zajęć sennych długotrwałych
Nad biurka za małe dla królewskich zaleceń
Gdzie świtem pióra skrzypiące się łamały
A świece świeciły, by nic nie oświecić

A w stolicy Sejm kończy obrady
Na rękach niesiony uśmiecha się król
Ambasadorowie nie zmieniają rolę
Wiedząc jak blisko od chwały do zdrady

Nie skończyli ostrzyć kos na sztore stawianych
Nie ruszyli zamków i sal pałacowych
Nie powywieszali wszystkich zdrajców stanu
W ziemię pól bitewnych powgniatane głowy
Odeszli w sukmanach kurtach i opończach
Po staremu się męczyć nad nie swoją rolę
Ktoś powiedział — wiedziałem, że to się tak skończy
Na żer wyszły obce wojskowe patrole

A król bez królestwa chodził na spacer
Nie ze swojej kasy utrzymując dwór
I nie wiedział jeszcze niepotrzebny chór
Jakie kiedy i za co zalśni mu order

Akt abdykacji:

„Imperatorowa i państwa ościenne
Przywróć spokojność obywatelom naszym
Przeto z wolnej woli dziś rezygnujemy
Z pretensji do tronu i polskiej korony
Nieszczęśliwie zdarzona w kraju insurekcja
Pogrążyła go w chaos oraz stan zniszczenia
Pieczołowitość nasza na nic się nie przyda
Świadczymy z całą rzetelnością Naszego Imienia”

Nie ogryźli kości
Nie dopili wina
Resztek jedzenia szuka pies pod stołem

Zbroja

Daleś mi Panie zbroję
Dawny kuł płatnerz ją
W wielu pogięta bojach
Wielu ochrzczona krwią
W wykutej dla giganta
Potykam się co krok
Bo jak sumienia szantaż
Uciska lewy bok

Lecz choć zaginął hełm i miecz
Dla ciała żadna w niej ostoja
To przecież w końcu ważna rzecz
Zbroja

Magicznych na niej rytów
Dziś nie odczyta nikt
Ale wykuta z mitów
I wieczna jest jak mit
Do ciała mi przywarła
Przeszkadza żyć i spać
A tłum się cieszy z karła
Co chce giganta grać

Lecz choć zaginął hełm i miecz
Dla ciała żadna w niej ostoja
To przecież w końcu ważna rzecz
Zbroja

A taka w niej powaga
Dawno zaschniętej krwi
Że czuję jak wymaga
I każe rosnać mi
Być może nadaremnie
Lecz stanę w niej za stu
Zdejmij ją Panie ze mnie
Jeśli umrę podczas snu

Bo choć zaginął hełm i miecz
Dla ciała żadna w niej ostoja
To przecież życia warta rzecz
Zbroja

Wrzasnęli hasło wojna
Zbudzili hufce hord
Zgwałcona noc spokojna
Ogląda pierwszy mord
Goreją świeże rany
Hańbiona płonie twarz
Lecz nam do obrony dany
Pamięci pancierz nasz

Więc choć za ciosem pada cios
I wróg posiłki śle w konwojach
Nas przed upadkiem chroni wciąż
Zbroja

Wywlekli pudła z blachy
Natkali kul do luf
I straszą sami w strachu
Strzelają do ciał i słów
Zabrońcie żyć wystrzałem
Niech zatryumfuje gwałt
Nad każdym wszędzie ciałem
Pamięci żywej kształt

Choć słońce skrył bojowy gaz
I żołdak pławi się w rozbojach
Wciąż przed upadkiem chroni nas
Zbroja

Wytresowali świnie
Kupili sobie psy
I w pustych słów świątyni
Stawiają ołtarz krwi
Zawodzi przed bałwanem
Półślepy kapłan-łgarz
I każdym nowym zdaniem
Hartuje pancierz nasz

Choć krwią zachłysł się nasz czas
Choć myśli toną w paranojach
Jak zawsze chronić będzie nas
Zbroja

Tradycja

Spójrzcie na królów naszych poczet —
Kapłanów durnej tolerancji.
Twarze jak katalogi zbroceń
Niesionych z Niemiec, Włoch i Francji!
W obłokach rozbujane dusze,
Ciała lubieżne i ułomne,
Fikcyjne pakty i sojusze,
Zmarnotrawione sny koronne —
 Nie czyja inna — lecz ich wina:
 Sojusz Hitlera i Stalina!

Spójrzcie na podgolone lby,
Na oczy zalepione miodem,
Wypukłe usta żądne krwi,
Na brzuchy obnoszone przodem,
Na czuby, wąsy, brody, brwi,
Do szabel przyrośnięte pięści —
To dumnej szlachty pyszne dni
Naszemu winne są nieszczęściu!
 To za ich grzechy — myśmy czyści —
 Gnębą nas teraz komuniści!

Sejmy, sejmiki, wnioski, veto!
I — nie oddamy praw o włos!
Ten tłum idący za lawetą,
Nieświadom, co mu niesie los!
Nie, to nie nasi antenaci!
Nie mamy z nimi nic wspólnego!
Nie będą nam ułani - braćmi!
My już — nie dzieci Piłsudskiego!
 To ich historia temu winna,
 Że nasza będzie całkiem inna:

Zapomnieć wojny i powstania,
Jedynie słuszny szarpać dzwon
Narodowego — byle trwania
W zgodzie na namiestniczy tron.
W zamian — w tej ziemi nam mogiła,
I przodków śpiew, jak echa kielich,
Że — „Jeszcze Polska wtedy żyła,
 Gdy za nią ginęli!” ...

Do Muzy suplikacja przy ostrzeniu pióra

Obdaruj, Muzo, Twego ucznia
Czarem wieczornej kurtyzany,
Ażebym miał, nim zabrzmi jutrznia
Kształt Twej bytności zapisany.
Wargom mym podaj pierś kokoty,
Jaką śni więzień w kazamatach
I biodra w takie wpraw obroty
Bym do roboty ręce zatarł.

Nie oddaj mi się bez przekory,
Podrażnij mnie, lecz nie za długo,
Żeby zbyt łatwo me utwory
Przedwczesną nie trysnęły strugą.
Niechaj chłopięca w nich nerwowość
Drży z niepewności i pragnienia,
Niech z trudem się dobywa słowo
Opisujące jęk spełnienia.

Z gęsi sarmackiej moje pióro,
Które łacińską żądzą ostrzę.
Ocieka tłuszczem, pachnie skórą
I pryska, kiedy się rozzłoszcę.
Inkaust z krwi i okowity,
Z patoki złości, z pieszczot kropel
Tylko przy tobie z piórem żyty
Nie ścina się w jałowy sopel.

Córką pamięci jesteś — wiem ja,
A tyle wierszy się pamięta,
Że krzykną zaraz mądre gremia
Która skąd fraza jest ściągnięta.
Lecz chociaż tylu wielkich znałaś
Upodobania i zachcianki —
Może i ja z Twojego ciała
Dobędę szczery dreszcz kochanki.

Tylko się pierwszy raz daj objąć
A niech już sobie krytyk kracze!
Choć mnodzy wciąż to z Tobą robią —
Wszak każdy robi to — inaczej...
Tylko się pierwszy raz daj objąć
A niech już sobie krytyk kracze!
Choć mnodzy wciąż to z Tobą robią,
Daj wierzyć — zrobię to inaczej...

Drzewo genealogiczne

Rodowód mój nie sięga bursztynowych szlaków,
Mój praszczur się nie najadł na ciele Popiela,
I kiedy nie od razu budowano Kraków
Zabrakło także mojej krwi przedstawiciela.

Czy byli pod Grunwaldem — milczą kronikarze,
Jeżeli wzięli Moskwę — to ich tam zjedzono.
Brakuje mi pradziadów w głównym nurcie zdarzeń
Bym mógł ich dać za przykład *pro publico bono*.

 Za to jacyś przodkowie (widzę po swych ustach,
 Których krój Epikura psuje wstyd nieszczerzy)
 Musieli czuć się dobrze przy Saskich Augustach
 I z Ciołkiem zwiedzać chętnie ogrody Wenery.

A ponoć moim krewnym był żołnierz-poeta
Co za Kościuszki szyj chciał biskupów, magnatów;
Ach czyżbym po nich przejął jakobiński nietakt
I czci brak dla błękitnej krwi i purpuratów?

Nie słyhać o mym rodzie w Noc Listopadową
I nie zasilął chyba styczniowych patroli,
Z Syberii żaden z moich z posiwiiałą głową
Nie wracał, by napisać księgę swych niedoli.

 Za to jakiś zmarznięty francuski gwardzista
 Miło ogrzał się w jednym z litewskich powiatów,
 A znów Tatar Potockich czarnym okiem błyskał
 Do stołecznej działaczki „Proletaryatu”.

Najświeższe drzewa rodu mojego gałązki
Spłonęły za murami w Getcie i w Powstaniu,
Lub w powojennym gruncie przyjęły się grząskim
I wypuściły pączek — o nim w jednym zdaniu:

Chodziłem do kościoła — oglądać witraże,
W komunistycznej szkole miałem same piątki,
Od dziecka byłem głodny podróży i wrażeń
Nieświadom, że to złego miłe są początki.

 Nie mam blizn po kajdankach, napletek posiadam,
 Na świat przyszedłem w czepku, nie pod ułańskim czakiem;
 Po dekadzie wygnania — polskim jeszcze władam,
 Proszę więc o dokument, że jestem Polakiem.

— Nie ma blizn po kajdankach, napletek posiada,
Na świat ten przyszedł w czepku, nie pod ułańskim czakiem;
Po dekadzie wygnania — polskim jeszcze włada,
Prosi nas (!) o dokument, że jest Polakiem!

Na starej mapie krajobraz utopijny

Twardo dmuchają na zimne Zefiry pucułowate,
Szumią i trzeszczą na wietrze odwieczne puszcze i bory,
Jeży się sierść rzek i jezior, jak pchła wskakuje w nią statek
Mijając wioski i miasta kruche, jak stary miedzioryt.

Tu konny z dłonią u czoła, tam chłop pochylony nad radłem,
Tu gruda ostrzem ruszona, tam wzgórze w ruchu perspektyw;
Nad szorstką skórą pustkowi wiją się wstęgi jedwabne
Z nazwami mitycznych krain, które wędrowca urzekły.

Dróg, by tam trafić — nic nie ułatwia
W przestrzeniach burz i w czasów kipieli,
Ale istnieje przecież Sarmatia,
Istnieje gdzieś *Terra Felix*.

Trzech mieszczan pośrodku mostu wstrzymała senna dysputa,
Za nimi w prostym rysunku — zbór, cerkiew, kościół i spichlerz.
Nurt w pieczy ma ich zasobność na ciężkich od beczek sztukach,
Uczciwszy potrzeby ciała — miło o duszy pomyśleć.

Hen, gdzie szlak wodny zakręca, wśród pól zbóż brzemieniem ugiętych
Bocian klekocze skowronkom o afrykańskich podróżach.
Słucha od czasów pogańskich tych samych plotek Dąb Święty
I nimfę w leśnym jeziorze strzeże przed wzrokiem intruza.

Dróg, by tam trafić — nic nie ułatwia
W przestrzeniach burz i w czasów kipieli,
Ale istnieje przecież Sarmatia,
Istnieje gdzieś *Terra Felix*.

W pochodzie rubasznych obłoków krążą Zodiaku pierścienie:
Przed Panną, Lwem, Bykiem, Wagą — bramy otwarte na oścież.
Na wieżach zamków co noc o przyszłość się troszczą uczeni,
A w gronie doradców — władca o teraźniejszość się troszczy.

Ceni przyjemność i pracę, szanuje rąk ludzkich twory,
Nęca go księgi tajemnic, cieszy go ład i dostatek.
Ale codziennie spogląda na mapy starej miedzioryt,
Gdzie wciąż dmuchają na zimne Zefiry pucułowate.

Ta *Terra Felix*, Sarmatia warta
Wiecznych podróży, pióra i lutni
Istnieje przecież — wsparta na barkach
Bóstwa o rysach okrutnych.

Dobre rady Pana Ojca

Słuchaj młody ojca grzecznie
A żyć będziesz pożytecznie.
Stamtąd czekaj szczęśliwości,
Gdzie twych przodków leżą kości.
Nie wyjeżdżaj w obce kraje,
Bo tam szpetne obyczaje.

Nalej ojcu, gardło splecz
Ucz się na Polaka, ucz!
Bo tam szpetne obyczaje.

One Niemce i Francuzy
Mają pludry i rajtuzy.
Niechrześcijańską miłość głoszą
I na wierzchu jajca noszą.
Pyski w pudrach i w pomadkach,
Wszy w perukach, franca w zadkach.

Nalej ojcu, gardło splecz
Ucz się na Polaka, ucz!
Wszy w perukach, franca w zadkach.

Cudzoziemskich ksiąg nie czytaj,
Czego nie wiesz — księdza pytaj.
Ucz się siodła, szabli, dzbana,
A poznają w tobie pana.
Z targowiska nie bierz złota —
To żydowska jest robota.

Nalej ojcu, gardło splecz
Ucz się na Polaka, ucz!
To żydowska jest robota.

Twoja sprawa — strzec Ojczyzny,
Czyli własnej ojcowizny.
Nie wiesz, gdzie się czai zdrada —
Uczyń zajazd na sąsiada.
Jak już musisz być w stolicy
Patrz, co robią politycy.
Na elekcjach dawaj kreskę
Nie za słowa, a za kieskę.

Nalej ojcu, gardło splecz
Ucz się na Polaka, ucz!
Nie za słowa, a za kieskę.

Bierz od wszystkich z animuszem,
Dawaj na mszę za swą duszę.
Bóg cnotliwe czyta chęci
I zachowa je w pamięci.

Żeń się młodo, dzieci rób
By miał kto o twój dbać grób.
Tu przez wieki twoje dziady
Dały nauk tych przykłady.
Tu przez wieki twoje wnuki
Nie przepomną tej nauki.

Nalej ojcu, gardło splucz
Ucz się na Polaka, ucz!
Nie przepomną tej nauki.

Taką stoi Polska racją
Na pohybel innym nacjom!

Pana-Rejowe gadanie

Nie pożywa, jak chciałby nawet człek poczciwy:
Nie poziera na krówki swoje ni gąsięta,
Nierad słonku, że świeci, miesiącowi krzywy,
Ledwie czoło wygładzi w Betlejemskie święta.
Gorzko miód mu smakuje, gorzko słowa w uściech,
Nie pośpiewa przy lutniej, chyba gorzkie żale,
Ni mu szukać się zachce radości w rozpuszcie,
Żonka milczy i drobiazg nie swiergoli wcale.

Skąd pogodę wziąć ducha?
Skrzynie puste, sień głucha,
Cnoty grosza nie rodzą,
Jeszcze w spaniu przeszkodzą.
Świat każdego pobodzie,
Kto z poduszką w niezgodzie.

Niecnotliwie, a syto pożywać — też sztuka;
Mało znać Makiawela, wiedzieć co się dzieje,
Niepoczciwa u ludzi kosztuje nauka —
Szyja zmięknie w terminie, a dusza stwardnieje.
Skryją szlachetne serce pozłacane blaszki,
Nos się z wiatrem znać będzie, jak kurek na dachu,
Zamiast szczyrych przyjaciół — śliskie złodziejaszki,
Za prawdziwe kochanie — uległość ze strachu.

Skąd pogodę wziąć ducha?
Ludzka zawiść — nie mucha,
Ni wywczasem jest władza,
Jeszcze w spaniu przeszkadza.
Świat takiego pobodzie,
Kto z poduszką w niezgodzie.

Przez narzekać, że Stwórcą człecznych krzywd nie płaci?
Bóg nie szlachcic pijany, co złociszem błyska;
Nie jest cnotą ni hańbą wstyd z podartych gaci,
Ani ból — zasługa, ani świat — kołyska.
Sprawiedliwość niebieska od królewskiej inna:
To cierpieniem nagrodzi, to bogactwem stoczy.
Opatrzności wyroki, jak po deszczu — rynna:
Kto jeno w niebo patrzy — tego i zamoczy.

Szczęście — oka jest mgnienie,
Człowiek — mądre cierpienie;
Dobry sen sobie mości,
Kto nie kocha się w złości,
A i żyć będzie słodziej,
Kto z poduszką jest w zgodzie.

Dzielnica żebraków

W dzielnicy żebraków, pod murem klasztoru,
Za zamkiem, gdzie miejskiej nie ujrzysz już straży
Aż huczy od gorzkich oskarżeń i sporów
Przeciwko Królowi Nędzarzy.

Ma nędza swa godność, lecz nią się nie najesz,
I więcej coś w ustach mieć chcesz, prócz nadziei,
Wybrano więc króla, a on — powiadają —
Okazał się Królem Złodziei.

I złodziej ma honor, choć głód cierpi rzadziej,
Lecz inny to cech i się rządzi inaczej —
Więc mówić się zwykło już głośno o zdradzie
Idei godności żebraczej.

A król wszak szlachetną miał myśl, by pogodzić
I jednych i drugich, choć w walkach zajadli;
Lecz zanim spłodzoną ideę urodził —
Złodzieje nędzarzy okradli.

Na burzach dziejowych w żebraczej dzielnicy
Ni klasztor, ni zamek właściwie nie straci,
Bo koszt szlachetności wyliczą skarbnicy...
A okradziony — zapłaci.

Czary skuteczne na swary odwieczne

Wielkie jest na czary zapotrzebowanie
W czasach niespokojnych królestwa bez stosów.
Wierzy w nie lud prosty, wierzą i mieszczenie,
Rymując formuły na odmianę losu
I na pozbywanie się
Strapięń i osób.

Ulep kukłę wroga twego,
Podobieństwa niechybnego,
Na niej szpilą jego imię
Wypisz wraz z imieniem Złego.
Zaczem nocą spal w kominie
A w męczarniach wróg twój zginie.

Szpila z brązu, pszczeli wosk
I uwolnisz się od trosk.

Słysząc z ust dostojnych hasła i zaklęcia,
Goreją złe oczy rzucając uroki,
A zauroczeni nie mają pojęcia,
Że już ostateczne zapadły wyroki,
Święty łeb kurczęcia
A ciało — w podskoki.

Weź wisielca język suchy,
Krew nieczystą polatuchy
I w miedzianym trzyj mózdzierzu.
Dodaj wino mszalne z kruchty,
Uczyń napar, wypij świeży,
A świat w słowa twe uwierzy.

Język trupa, kurwy śluz,
A, co powiesz — to już mus.

Płyną ulicami magiczne opary,
Chodzą prostaczkowie szczęściem oczadzeni,
Zgrzytają zębami ofiary niewiary,
Że w tej kuchni własnej nie piekły pieczeni.
Cuda to, czy czary,
Że się świat odmienił?

Grosz ostatni żebrakowi
Zabierz, daj czarownikowi
I się brzmieniem zaklęć odurz
Zaczem głowę workiem owiń
I z wysokich rzuć się schodów,
A nie zaznasz więcej głodu.

A nie wierzysz — to się módl;
Cóż jest w końcu — ziemski głód?

Prosty człowiek

Ja prosty człowiek — wierzę w słowo.
Powiedzą — wstań i idź — to idę.
Zarabiam ręką, a nie głową
Nie grzeszę pychą ani wstydem.
Dla ludzi mam otwarte drzwi,
Niewiele zabrać można mi,
Ale jak ktoś mi da po pysku —
Oddam z nawiązką
— Ja nie Chrystus!

Ja prosty człowiek — mądrym ufam,
Sprytnym nie wchodzę raczej w drogę,
Mówię niewiele, chętniej słucham,
Pojmuję to, co pojąć mogę.
Dla głodnych talerz mam i stół,
Z tego com zebrał — oddam pół.
Ale jak sięgnie ktoś po wszystko —
Łapy przetrączę
— Ja nie Chrystus!

Ja prosty człowiek — krwi oszczędzam,
O byle co jej nie przeleję.
Milsze mi życie niż śmierć nędzna
Za obietnice i nadzieje.
Bliźniemu też użyczę krwi
Byle starczyło jeszcze mi.
Lecz niechby ktoś mi kroplę wyssał —
Z gardła wyszarpię
— Ja nie Chrystus!

Ja prosty człowiek — cóż mi skarga?
Kadzą mi albo palcem grożą.
Każdy swój krzyż przez życie targa,
A jeszcze kamień mu dołożą.
Dźwignę, to dobrze, nie — to nie:
Drżycie, gdy krew zaleje mnie!

Warchoł

— Warchoł! — krzyczą. Nie zaprzeczam,
Tylko własnym prawom ufam:
Wolna wola jest człowiecza,
Pergaminów nie posłucha.

Boska ręka w tym, czy diabła,
Szpetnie to, czy właśnie pięknie —
Wola moja jest jak szabla:
Nagniesz ją za mocno — pęknie.

A niewprawną puścisz dłonią —
W pysk odbije stali siła;
Tak się naucz robić bronią,
By naturą swą służyła.

Sprawa ze mną — jak kraj ten stara
I jak zwykle on — byle jaka:
Nie zrobili ze mnie janczara —
Nie uczynią też i dworaka.
Wychwalali zasługi, cnoty
Podsycali pochlebstwem wady,
A ja służyć — nie mam ochoty,
Warchołowi — nikt nie da rady!

Lubię tany, pełne dzbany,
Sute stoły i tapczany,
Płeć nadobną — niesurową
I od święta — Boże Słowo.

Lecz ni ksiądz, ni okowita
Piekłem straszy, niebem nęci,
Ani żadna mnie kobita
Wokół palca nie okręci.

Mój ból głowy, moja skrucha,
Moje kiszki, moja franca,
Moja wreszcie groza ducha,
Gdy Kostucha rwie do tańca!

Sprawa ze mną — jak kraj ten stara
I jak zwykle on — byle jaka:
Nie zrobili ze mnie janczara —
Nie uczynią też i dworaka.
Wychwalali zasługi, cnoty
Podsycali pochlebstwem wady,
A ja służyć — nie mam ochoty,
Warchołowi — nikt nie da rady!

Jakbym ja był człowiek z wosku
W rękach wodzów, niewiast, klechów —
Mógłbym ich zostawić troskom
Cały ciężar moich grzechów.

Ale znam tych stróżów mienia,
Sędziów sumień, prawdy zakon,
Spekulantów odkupienia —
Bo znam siebie — jako tako.

Ulepiony i pokłuty
Niepotrzebny będę więcej;
Rzucą w ogień dla pokuty
I umyją po mnie ręce.

Sprawa ze mną — jak kraj ten stara
I jak zwykle on — byle jaka:
Nie zrobili ze mnie janczara,
Nie uczynią też i dworaka.
Zły? — być może. Dobry? — a czemu?
Nie tak wiele znów pychy we mnie.
Dajcie żyć po swojemu — grzesznemu,
A i świętym żyć będzie przyjemniej!

Z pasa słuckiego pożytek

Markowi Karpińskiemu

Człowiek się staje bardziej ludzki
Gdy się przepasze pasem słuckim.
Ów słuszną słyńie w świecie sławą,
Że lewą stronę ma — i prawą.
Te same wzory i ozdoby
Dwoisty dobór barw rozdziela:
Tą stroną na wierzch — znak żałoby,
Odwrotną zasię — znak wesela.

Kwiecista jest wymowa stroju,
Milczącym mówcą — szlachcic strojny;
Lśni złotem brzuch na czas pokoju,
A karmazynem — na czas wojny.
Pas przypisuje jak porzecz,
Czyni hetmanem lub hołyszem:
Zechcesz — poszarzy cię w pokorze,
Wzrośniesz — roziskrzy w słusznej pysze.

Gdy — wobec wiary — gnębi żal win,
Pas słucki chwacko zeń wyzwoli:
Tak się owiniesz — jużes kalwin,
Na opak włożysz — toś katolik!
Przy tym niewielka jest to praca,
Gdy zmienny humor, mus, kaprys, chęci:
Ot parę razy się obracasz —
Nawet się w głowie nie zakreści!

Gdy słuckim pasem się przepaszysz —
W siłę słabości zmieniasz lasze.
Pas wszelkich możliwości miarką:
Póki na brzuchu — łeb na karku!

Rokosz

— Dosyc mamy tego, co bylo,
— Panowie szlachta! W górę czuby!
— Nie da dobrocią się — to siłą
Strzec przed hetmanem praw swych zguby!
— Furda podpisy i układy!
— Kłamie inkaust, krew jest szczera!
— Układ, by powód był do zdrady,
Podpis jest, by się go wypierać!

— Dalej na Zamek!
— Dalej! Dalej!
— Precz z hetmanem!
— Precz!
W potrzebie wzywa nas ku chwale
Pospolita Rzecz!

Niech z czeluści piekiel bestie
Wyciągają ku nam szpony;
Hufce bronią nas niebieskie,
Świetliste bastiony.
Niech diabelskim wynalazkom
Bije ciemny świat pokłony,
Nas czekają z bożą łaską
Niedoczesne trony.

— Dosyc mamy tego, co jest!
— Panowie szlachta! Do pałazy!
— Starczy po gardle ostrza gest
A kundel kanclerz się wystraszy!

— Furda odezwy, sądy, pozwy,
— Łzą płaczki, żeśmy rokoszanie!
— Ich matactw my ofiarne kozły
Padnie kraj, jeśli nas nie stanie!

— Dalej na wieżę!
— Dalej! Dalej!
— Precz z kanclerzem!
— Precz!
W potrzebie wzywa nas ku chwale
Pospolita Rzecz!

Niech z czeluści piekieł bestie
Wyciągają ku nam szpony;
Hufce bronią nas niebieskie,
Świetliste bastiony.
Niech diabelskim wynalazkom
Bije ciemny świat pokłony,
Nas czekają z bożą łaską
Niedoczesne trony.

— Dostyc mamy tego, co będzie!
— Panowie szlachta! Po buławy!
— Niech jeden z nas na tronie siędzie
I weźmie w ręce nasze sprawy!
— Uniesiem razem władzy ciężar
W zamian ojczyzny skarbiąc miłość!
Wiedział nasz pradziad jak zwyciężać,
Niech zatem będzie tak, jak było!

— Dalej na szańce!
— Dalej! Dalej!
— Precz z Pomazańcem!
— Precz!
W potrzebie wzywa nas ku chwale
Pospolita Rzecz!

Niech nam obce chwałą wzory
Niemce, Szwedy, Angielczyki —
Nie nauczą nas pokory
Czarcie ich praktyki!
Niechaj słucha się litery
Kto się nie ma za człowieka,
Nas za wiarę w zapał szczery
Wiekuiście czeka!

Kniazia Jaremy nawrócenie

Drży ze strachu czerń kozacza,
Dęba stają oseledce —
Kniaź Jarema się nawraca,
Prawosławnej wiary nie chce.
Złe przecucie piersi dusi;
Chłopom — Popy i Ikony,
A on — Pan udzielny Rusi
Księstwo zbliża do Korony.

Lat dwadzieścia duch w nim drzemał
Aż go rzymski Krzyż oświecił.
Kniaź Jarema, Kniaź Jarema
Straszny będzie dla swych dzieci.

Jęczą głośno Ruskie pany:
— Zajrzyj w duszę swą, Władkyo!
Wszak oddajesz wszystko za nic!
I nas gubisz polityką!
Oczywista próśb daremność —
Kniaź noc całą leżał krzyżem.
— Kto mnie kocha, pójdzie ze mną,
Lub na palik go naniżę!

Lat dwadzieścia duch w nim drzemał
Aż go rzymski Krzyż oświecił.
Kniaź Jarema, Kniaź Jarema
Bogu krwawą Ruś poleci.

— Nie dostaniesz się w pokorze
Na królewskie przedpokoje,
Stanie w ogniu Zaporozie,
Pójdzie w dym dziedzictwo twoje!
— Przed dziedzictwem chcę ojczyzny,
Przed ojczyzną chcę zbawienia,
Niech za Chrystusowe blizny
Idą w ogień pokolenia!

Lat dwadzieścia duch w nim drzemał
Aż go rzymski Krzyż oświecił.
Kniaź Jarema, Kniaź Jarema
Dusz żarłocznych żar roznieci.

— Krew dla ciebie, nie zaszczyty!
Wzgarda dla ruskiego księcia!
My dla Rzeczypospolitej
Jak paznokcie do przycięcia!
— Zechce przyciąć, to się sparzy,
Bo ja krzyżem się zasłonię;
Doczekają koroniarze
Wiśniowieckich na swym tronie!

Ku serc pocrzepieniu temat —
Leży w krypcie szkłem przykryty
Kniaź Jarema, Kniaź Jarema
Ojciec dzieci na pal wbitych.
Kniaź Jarema, Kniaź Jarema
Neofita, bo polityk.

Elekcja

Ramiona do nieba wzniesione wzburzeniem
Łacina spieniona na wargach,
Żył sznury na skroniach, przekrwione spojrzenie
Przekleństwo, modlitwa lub skarga.
Pod nos podtykane i palce i pięści,
Na racje oracji trwa bitwa,
Szablistą polszczyzną tnie, świszcze i chrzęści
Przekleństwo, skarga, modlitwa.

„Czas ratować państwo chore,
Szlag mnie trafia — *ergo sum!*
Po sąsiadach partię zbiorę,
Uczynimy szum!”

Ten Prusom gardłuje, ten Wiednia partyzant,
Ów ruskiej się chwyta sukienki,
A troską każdego szczęśliwa ojczyzna —
Stąd modły, przekleństwa i jęki.
Polityką zwie się ów spór Panów Braci
W rozmowach elekta z elektem;
Schlebiają szarakom złości magnaci
Wśród jęków, modlitw i przekleństw.

„Pojedziemy do stolicy,
Wszak Warszawa to nie Rzym,
Tam rabują przedawczycy,
Poświecimy im!”

Co czub i wąsiska — to wróż i historyk,
Niezbite też ma argumenta;
Lecz Wiednie Sobieskich i Pskowy Batorych
Dziś każdy inaczej pamięta!
Więc grunt to obyczaj, obyczaj — rzecz święta,
By Rzeczpospolita zakwitła
Niech rządzi, kto bądź — byle wolnych nie pętał
W przekleństwach, skargach, modlitwach!

„Jest nas patryjotów siła,
Żaden nam nie straszny wróg,
A Ojczyzna sercu miła
I łaskawy Bóg.

Rozniesiemy na szabelkach
Zdrajców, co nam wodzą rej,
Rzeczpospolita jest wielka
Starczy dla nas jej!”

Ramiona do nieba wzniesione przed zgonem,
Krew czarna zaschnięta na wargach,
A w oczach otwartych milczenie zdumione
I skarga...

Rozniesiemy na szabelkach
Zdrajców, co nam wodzą rej,
Rzeczpospolita jest wielka
Czy starczy dla nas jej?

Pobojowisko

Święty spokój nad równiną porachunków;
Krew żarliwa ścięta w galaretę błota,
Słychać tu i tam pośmiertny szczęk rynsztunku,
Błyska z nieba odpryśnięty płatek złota.
Chciwa trunku i rabunku
Tłumnie tłoczy się hołota.

Kto padł pierwszy — może pełną mieć manierkę,
Kto ostatni — skarby w bitwie z wroga zdarte.
Nim się psy i kruki zlecą na wyzerkę
W dobre ręce trafi wszystko, co coś warte:
Rosną kosztowności w stertę
Przerzucaną sprośnym żartem.

Gdy ścierają się świata mocarze
Od przepaści wieczności o krok —
My jesteśmy tych starć kronikarze:
Obdzieracze sumienni zwłok.
Gdy staniemy przed Stwórcą tak nadzy
Jak nas stworzył Pan Niebios — na Sąd
Tam insygnia bogactwa i władzy
Z rąk wędrować będą do rąk.

Mają cenę swą sygnety i pierścienie,
Co niejednej jeszcze dadzą kształt pieczęci;
Szkaplerzyki i krzyżyki też są w cenie,
Wszak ten wiary przodków znak pierś grzeszną święci:
Tak następne pokolenie
Da dowody swej pamięci.

Przyda szabla się i puklerz połupany,
Nie przepadnie pas rycerski, płaszcz i szyszak:
Obwiesimy tym gliniane nasze ściany,
Wykroimy szumne szaty dla hołysza.
Tylko pióra nam są na nic,
Bo tu nikt nie umie pisać.

Gdy ścierają się świata mocarze
Od przepaści wieczności o krok —
My jesteśmy tych starć kronikarze:
Obdzieracze sumienni zwłok.
Kiedy staną przed Stwórcą tak nadzy
Jak ich stworzył Pan Niebios — na Sąd
My insygnia bogactwa i władzy
Z rąk podawać będziemy do rąk.

Z czasem z pola bitwy pozostanie nazwa.
Sami dzieci nauczymy o niej pieśni,
Bo nad nami będzie przecież lśnić jak gwiazda,
Której ziemski blask z pogromuśmy wynieśli.

W łupem wyściełanych gniazdach
Sytym sępom śmierć się nie śni.

Z czasem nowa z nas powstanie wodzów rota
Uzbrojona w historyczne argumenty.
W chamskiej dłoni buzdyganów władza złota
Wyprowadzi w pole śpiewne regimenty.
I znowu zjawi się hołota,
Żeby łan posprzątać zżęty.

Gdy ścierają się świata mocarze
Od przepaści wieczności o krok —
My jesteśmy tych starć kronikarze:
Obdzieracze sumienni zwłok.
Gdy staniemy przed Stwórcą tak nadzy
Jak nas stworzył Pan Niebios — na Sąd
Tam insygnia bogactwa i władzy
Z rąk wędrować będą do rąk.

O zachowaniu się przy stole

(za J. Kitowiczem)

Polski stół zastawiony. Na chorągwi obrusach
Potu, patoki, posoki — tysiącletni lśni haft.
Śniadał na nim król, kanclerz, ksiądz, parobek i husarz,
Nici Turczyn dostarczył, Niemiec dodał warsztat i kraft.
Litwin podszył uporem Lachów niefrasobliwość,
Dziką serca tęsknotę Kozak wniósł, smutek — Żyd,
Włoch łańskie sentencje wplótł w tkaninę cierpliwą,
Estetyczny z cyrylicą wywołując tym zgrzyt.

Penelopa narodów — co utkała, to pruća,
Zalotników zachłanność dopełniła jej los;
Zanim pracę podjęła Dejanira nieczuła
Szyjąc giezła śmiertelne rzeszom Herkulesów — na stos.
Na żalobno-rubasznym więc ucztujem brokacie,
Gdy ze słomy zza cholew dobywamy swych łych!
Może nie tak, jak drzewiej, nie obficie, bogaciej
Lecz — na swoim sięgamy do kielichów i mich!

Wielki budzą apetyt świeżego państwa pasztety,
Krzepki kordiał szaleju ciska iskrę w dusz chrust!
Rozgryzamy na miazgę krwawych kiszek konkrety
A na wety — kościola kołacz podnosimy do ust.
Na subtelne bebechy zbyt treściwa to strawa,
W łby, gdzie mózg się przelewa — nie nalejesz po brzeg!
Torsy w torsjach trzepoczą na złocistych zastawach,
Z rybich warg — farszu kartacz, w zadach z hukiem pruje się ścieg!

Braćmi wzgardzi, kto z gardła puści sok na uboczu:
Nie odzyska pozycji w towarzystwie ich mord;
Zajmą wnet jego miejsce, gdy się tylko z krzesła wytoczy
Pożądliwe żołądki z chrapką na wyzerkę na borg.
Nieudana to uczta co się kończy przytomnie,
Jeśli goście w otchłanną nie zapadną się głąb,
Kiedy jeden za drugim zdoła sobie przypomnieć
Komu nakładł po pysku, kto mu złamał nos, wybił ząb.

Zatem jedzmy i pijmy, korzystajmy z okazji
Bo Bóg wie, kiedy znowu sam nakryje się stół!
Będą o nas pamiętać w Europie i w Azji
Jak się biesi docześnie, kto historią się stru!
Europa i Azja! Miazmatów małmazja!
Karuzela i rzeźnia! *Paysage idéal!*
Hipokryzja finezji! Na amnezję — fantazja!
Dzień za dniem zmartwychwstanie — msza, pokuta — i bal!

Nad spuścizną po przodkach deliberacje

Ten, co ciałem się rodzi — ciałem w nicość schodzi,
Od świata się odwraca, za pan brat z robactwem.
Kędy duch jego błądzi — pytać się nie godzi
Tym, co jeszcze się chwieją na istnienia kładce.
Nie ma przecież takiego, co całkiem umiera:
Każdy spuszcza potomnym, co zgon zbędnym czyni;
Ten bogactwa niezmierne zdobył lub nabierał,
Ów długi pozaciągał, grzeszył i nawinił.

Jeden ciała nigdy nie mył, lecz miał duszę czystą,
Bowiem w kropielnicy moczył robaczywe serce.
Gdy testament otworzono klasztor dostał wszystko,
W świat po prośbie wyruszyły dzieci w poniewierce.

Drugi łupić zwykł sąsiadów nie dla krotochwili:
Córkom wiano chciał majątne, synom dać nazwisko.
Aż go po sprawiedliwości złupieni — złupili.
Łup się znowu w łup obrócił, diabli wzięli wszystko.

Ten, co ciałem się rodzi — ciałem w nicość schodzi,
Od świata się odwraca, za pan brat z robactwem.
Kędy duch jego błądzi — pytać się nie godzi
Tym, co jeszcze się chwieją na istnienia kładce.

Trzeci mógłby z Apollinem równać się urodą,
Grał też, ale nie na harfie — najchętniej w mariaszka.
Przegrał konie i majątek, pierścień, żonkę młodą,
Po czym sobie w łeb wypalił. Honor — nie igraszka!

Inny hojnie dukatami pomagał ojczyźnie.
Płacił msze i kładł na wojsko, słał po szkołach dary;
A nie dbał — w kieszenie czyje jego grosz się wśliźnie —
Umarł goły, ale dumny, że poniósł ofiary.

Patrzą na nas z portretów, kryją się po księgach,
Na gniew nasz obojętni w tej ponurej dobie,
Że się naszą mizериą płaci ich potęga,
Bo za życia — zwykli myśleć tylko o sobie.
Z tych, co jeszcze się chwieją na istnienia kładce
Mało kto, zamiast gniewać się na to, co było,
Zęby ściśnie i powie — długi ojców splecę,
A co ich ułomnością — moją będzie siłą!

Według Gombrowicza narodu obrażanie

Polak — to embrion narodziarski:
Z lepianek poczał się, z zaścianków,
Z najazdów ruskich i tatarskich,
Z niemieckich katedr, włoskich zamków.
W genealogii tej określił
Oryginalny naród się by,
Gdyby się uczył własnej treści,
Zamiast przymierzać cudze gęby.

Chrystusem był i Rzymianinem
I w tej sprzeczności żył — i wyżył:
To dźwigał krzyż i czyjaś winę,
To znów na szyi — tylko krzyżyk.
U Żyda pił, batożył Żyda
A przed żydowską Matką klękał
I czekał łaski malowidła
Najświętsza ratuj go panienka!

Nie lubi stwarzać się — być chciałby.
Wszak Bóg rzekł: „Niech się stanie Polak”,
A szatan w płacz — *Das ist unglaublich!*
Nieszczęsna w Polsce moja dola!
Słusznie się lęka Pan Ciemności,
Że ciężko będzie miał z Lachami;
W szczegółach przecież diabeł gości,
A Polak gardzi szczegółami!

Nie lubi tworzyć, lecz zdobywać
Gdy niedostatek mu doskwiera.
Uchodzi więc za bohatera,
Ale nim nie jest, chociaż bywa.
Gdy świat przesyje myśli błyskiem
I wielką prawdę w lot uchwyci,
To traci na niej zamiast zyskać
I jeszcze będzie się tym szczyił.

Jak dziecko lubi się przebierać
Powtarzać słowa, miny, gesty,
W dziadkowych nosić się orderach
I nigdy mu niczego nie wstydz.
Okrutny bywa, lub przylepny,
W swoim pojęciu niekaralny,
Bo uczuciowo nie okrzepły,
Dojrzewający, embrionalny.

W niewoli — za wolnością płacze
Nie wierząc, by ją kiedyś zyskał,
Toteż gdy wolność swą zobaczy
Święconą wodą na nią pryska.
Bezpiecznie tylko chciał gardłować
I romantycznie o niej marzyć,
A tu się ciałem stały słowa
I Bóg wie, co się może zdarzyć!

Oto wzór dla świata:
Pan się z chamem zbratał.
Nie ma pana, nie ma chama —
Jest bańka mydlana.
Aż się słyszeć grom dał,
Z bańki będzie bomba!
Z bomby błysk, czyli *blitz* —
Znowu nie ma nic.

Z XVI-wiecznym portretem trumiennym — rozmowa

Nie patrz na nas z wyrzutem pyszny szalawiło,
Bądźże z sercem otwartym dla dzieci swych dzieci.
Od twoich czasów sławnych tyle się zmieniło,
Że aż szkoda zawracać tym głowę Waszeci.

Mało wiemy o Tobie, coś na Turka chadzał,
Węgry królem obierał i tratował Szweda,
Ale patrzył i tego, by obrona władza
Nie zabrała Ci czasem, czegoś sam jej nie dał.

A nie dałeś jej prawa by Ci grozić drewnem
Bo przed Bogiem za posła nie chcesz jezuitę,
By na takie Cię pola mogła słać bitewne,
Gdzie krew i rany — Twoje, a cudze profity.

A my, co rusz, to przed kimś
Kolejnym — na kolanach;
Dalekośmy odeszli
Od siły Waszmość Pana.
Po wciąż to nowych dworach
Pętamy się nie w porę;
Kochamy się w honorach,
Nie znamy się z honorem.

Łypnij na nas łagodniej okiem wyrazistym
Co widziało królestwa Twojego Wiek Złoty,
Zamiast lając nas z trumny za sprawą artysty,
Że są czasy kolosów i czasy miernoty.

Rzymskim prawem się szcycisz opartym na sile:
Dłoń złocisty pas maca, kręci wąs sumiasty;
Ale wyrozumiałość — to siły przywilej
Urodzony z r o z u m u na Twój wiek szesnasty.

Czemuś synów nie uczył, z czegoś sam korzystał,
Że czapka rozum grzeje, by nie skapiał chyłkiem?
Rychło jeden za drugim — poseł czy statysta —
Czapkowali rozumem, a myśleli tyłkiem.

I my — na byle słowo
Na tylne stajem łapki;
W zawiei z gołą głową
Szukamy własnej czapki.
W tym, co zostało z włości
W dziedzictwie po waszmościach —
Brakuje nam mądrości,
Kochamy się w mądrościach.

Patrz na nas jak uważasz, pyszny szalawiło,
Jest czego Ci zazdrościć, jest i za co karcieć.
Choć dawno już Cię nie ma — cennie Ci się żyło,
A ci, co się cenili — byli tego warci.

Znaczyło słowo — słowo, sprawa zaś gardłowa
Kończyła się na gardle — które ma się jedno;
Wtedy się wie jak w pełni życie posmakować,
A ci, w których krew krąży — przed śmiercią nie bledną.

Koniem dla nich istnienie! — trzeba znać ogiera;
Pięści słucha, czy pieśni, czy rwie się w step czy w tłum;
I umieć nie spaść, kiedy piersi pęd rozpiera
A spadłszy, szepnąć jeszcze — *equus polonus sum!*

A my, nie z własnej winy,
Aż się przyznawać hadko —
Nie znamy już łaciny
I z polskim nam niełatwo.

Lecz ujrzy przodek w grobie
Na co nas jeszcze stać:
Bo się kochamy — w sobie!
Nie pragnąc — siebie — znać!